Nr. 6 (1206). Warszawa, 24 Stycznia (6 Lutego) 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W OCZEKIWANIU.

Nota japońska, wysłana w środku stycznia, zredagowana, według zapewnień półurzędowych japońskich, w treści takiej, że odpowiedź na nią mogłaby przynieść albo zasadnicze zgodzenie się na propozycye, albo zerwanie dalszych układów, —nota zatem wielkiej wagi, bo wzmacniająca naprężenie wojenne — jeszcze w środę bieżącego tygodnia była bez odpowiedzi; zapowiadano ją jednak na ten tydzień niezawodnie i prawdopodobnie, [illegible] czytelnik słowa te przeczyta, już [illegible] gazety codzienne obwieszczą wysłanie, może nawet i odbiór noty, którą przy tak znacznej odległości z zupełną mocą i wa[illegible] dyplomatyczną mógł hr. Lamsdorff przesłać telegrafem do bar. Rosena w Tokio.

Japoński ów dylemat wyszedł z założenia, że propozycya pojednawcza jednej strony, mieszcząca w sobie ustępstwo, wyciągnięte do ostatecznych już krańców, [illegible] może być nieprzyjętą przez drugą bez wywarcia dodatniego nacisku na postanowienia wojenne. Rzeczywiście, to co niewątpliwie już wiemy o propozycyach styczniowych, stwierdza takie stanowisko dyplomacyi japońskiej. Nota proponuje pomiędzy Mandżuryą a Koreą pas neutralny, szeroki z każdej strony na 25 kilom. Kto w ten sposób obwarowywa się od sąsiada, ten choćby tylko na krótki czas i pod niedoskonałym tytułem uznaje już posiadanie jego, czy dzierżenie (*detentio*) po za pasem, na terytoryum mandżurskiem za fakt, któremu nie myśli się sprzeciwiać. Dla Japonii zaczyna się już ziszczać ów przewidywany moment psychologiczny. Ustępstwo tak określone Japończycy ze swego stanowiska mogą istotnie uważać za krańcowe, za skutek raczej niemocy niż energii: daje ono bowiem legalny początek posiadaniu, którego zniesienie zupełne było pierwiastkowym celem dyplomacyi japońskiej, niespokojnej o przyszłość, znającej dobrze moc faktów dokonanych i konieczność uzupełniania się ich nowemi aż do zaokrąglenia, dającego zupełne już zadowolenie.

Nawzajem w propozycyi japońskiej mieści się i Korea dla Japonii. Jest to więc już podział terytoryum spornego, złożonego z Mandżuryi i Korei, jest zarazem jakby zastaw, wywierający nacisk na spełnienie zobowiązania głównego, za jakie i Chiny i Japonia uważać muszą opuszczenie Mandżuryi. Rzecz prosta, że i pas neutralny i podział terytoryum są tylko pomysłami, kształtującymi tymczasowość w pewne stosunki. Rosya zatrzymuje Mandżuryę, aż do ostatecznego względem niej postanowienia przez wszystkich interesowanych; wzamian za to Japonia otrzymuje protektorat nad Koreą już bez terminu, jak wszelkie protektoraty. Przeciwko temu właśnie mogła wystąpić propozycya inna, o której jeszcze przed drugą notą japońską donoszono: podział Korei, pod formą tak dziś ulubionych sfer wpływów politycznych; Rosya wzięłaby część północną, Japonia—południową, w której ma już koleje, straże, handel, kupców, dwa porty prawie wyłącznie dla siebie, gdzie zresztą wpływ jej z każdym rokiem coraz bardziej wzrasta. Ta propozycya znosi, oczywiście, i pas neutralny i tymczasowość zajęcia Mandżuryi; kto po za jej granicami nowe jeszcze kraje zajmuje, ten nie myśli z dawniejszych ustąpić.

Rosya nie czekała na notę japońską, aby już dawniej, i to bardzo stanowczo zapowiedzieć, że Mandżurya nie obchodzi Japonii; Chiny są samoistne i jak w życiu cywilnem nikt nie ma prawa narzucać się trzeciemu za pełnoletniego, tak i Japończykom zasię do Mandżuryi. Chińczycy niewątpliwie stoją po stronie japońskiej, a dowodem tego jest wyjaśnienie dane przez chiński urząd do spraw zagr. na jesieni r. z., co do praw związanych z istnieniem kolei mandżurskiej: urząd orzekł, że są one ściśle zamknięte w granicach wymagań ruchu i bezpieczeństwa drogi, i granic tych przekraczać nie mogą. Ale Chiny dyplomatyczne nie miały odwagi powiedzieć tego Rosyi; Chiny też, ani dotychczas nie wystąpiły w sporze, ani nie wystąpią w wojnie, gdyby do niej przyszło. Japonia może liczyć tylko na samą siebie —i dopiero groźna klęska mogłaby wywołać ocknienie się Anglii,—więcej w imię własnego interesu, niż przymierza. Ale i wtedy jeszcze będzie ją trzymała na uwięzi Francya, która w imię swych obowiązków sprzymierzeńczych, a w celach dorobku za dalekiemi morzami, mogłaby czynnie też wystąpić. W mowie tronowej z dnia 2-go b. m. król Edward gorąco oświadcza gotowość do pośrednictwa. Chce zatem być stroną trzecią, nieinteresowaną w sporze. Tej funkcyi niechętnie się Anglia wyrzeknie. Usługi przecież jej będą zbyteczne. Japonia i bez niej ulegnie, albo porwie za oręż, a Rosya oferty angielskiej z pewnością nie przyjmie. Straszna jest mizerya głów politycznych w Anglii.

Listy z Berlina.

Dyskusya budżetowa w Izbie pruskiej. — Reforma wyborcza. — Sprawa polska.

Sesyę sejmu pruskiego otworzył Wilhelm II lakoniczną i bezbarwną mową od tronu. Wskazała ona dwa fakty: wielce korzystne położenie finansowe królestwa, pozwalające na daleko sięgające reformy i zaniechanie wszelkiej reformy, tak w oczekiwanem przez demokracyę zniżeniu taryf kolejowych, jak w znanym, osobiście królowi drogim projekcie kanałowym*). Zato mowa tronowa nie poruszyła żadnej z wielkich spraw politycznych, ciążących na życiu monarchii pruskiej; nie zakreśliła żadnych reform w dziedzinie stosunków publicznych, których to najwłaściwszym i pierwszym wyrazem winno być zniesienie obecnych ordynacyj wyborczych; nie powiedziała również ani słowa w sprawie stosunku do Polaków, która zawsze normowała i normuje państwową politykę Prus, a obecnie od lat paru wysunięta została na czoło spraw sejmowych.

Atoli, nieporuszone w mowie tronowej te kwestye tem większe zajęły miejsce w ogólnej dyskusyi budżetowej, tradycyjnie rozpoczynającej sesyę sejmu. W prawdzie niema bezpłodniejszych rozpraw parlamentarnych, niż te w sejmie pruskim — wypowie się wiele pięknych mów i wszystko pójdzie po staremu — jak stwierdził ostatnio jeden z dobranego towarzystwa pruskich sekretarzy stanu. Czyli, że żadna *rzecz*, żaden *czyn* w tym wielkim i wspaniałym gmachu się nie dokonywa. Jest to stała i niezmienna instytucya pomocnicza biurokracyi pruskiej.

Ale że życie społeczne nie stoi w miejscu, jak owe niezmienne zgromadzenia przedstawicieli, że ruch jest ciągły, tak w warunkach każdego człowieka, każdego pojedynczego domu, jak w całokształcie spraw gromadzkich, to warto się przypatrzeć, jak ten ruch, te zmiany ciągłe odbijają się w jednostajnem życiu sejmowego zgromadzenia. A więcej jeszcze jest ciekawem, jak w tem gronie, jedynie odzywający się, przemówi rząd, posiadający znaczenie nietylko wyroczni, ale i czynu.

Owóż, przedewszystkiem myśl zreformowania prawa wyborczego, potępiona w najszerszych warstwach narodu, nie znalazła tu echa silnego, nie zyskała obrońcy. Pierwsi poruszyli tę sprawę nie przedstawiciele nieznacznych zresztą stronnictw wolnomyślnych, nie pokrzywdzeni w prawie wyborczem Polacy, lecz właśnie przedstawiciele stronnictw większości: przerażeni rozwijającym się dokoła nich ruchem „przewrotu," chcieli raz jeszcze siebie i świat upewnić, że w Prusach wszystko starym porządkiem i utartą drogą iść będzie.

Konserwatystom, czyli bezwzględnym przeciwnikom wszelkiej zmiany konstytucyjnej, brakuje 11 głosów do absolutnej większości w sejmie. Krańcowi konserwatyści posiadają 148 mandatów, czyli z górą $^{1}/_{3}$ głosów sejmowych. To wystarcza, aby uniemożliwić wszelką reformę. Wolnokonserwatyści wystąpili z żądaniem pewnych zmian w podziale okręgów wyborczych, jako też pewnego uproszczenia w podziale na klasy, zostawiając jednakże wszystkie ważne cechy wyborów: podział na klasy, jawność głosowania, wybory dwu stopni. Narodowo-liberalni zadowolili się krytyką tego projektu. Centrum w osobie swego przedstawiciela, Bachema, zapowiedziało, że o zaprowadzeniu powszechnego głosowania mowy być nie może, nietylko dla braku odpowiedniej większości sejmowej, ale i dlatego, że samo centrum widzi już *niedoskonałości* systemu wyborów powszechnych. Te niedoskonałości dały się centrum dotkliwie we znaki ostatnio w Westfalii, Nadrenii i Katowicach; przytem centrum uczyniło znaczne postępy w wiernopoddańczości; to też woli, żeby rząd coś postanowił: „w tak zasadniczych kwestyach - mówił p. Bachem—przedkładanie projektów nie jest rzeczą przedstawicieli narodu, ale rzeczą rządu."

Wobec takiego stanowiska reprezentacyi zrozumiałemi są proste, jasne i wprost bezczelne oświadczenia pruskiego ministra spraw wewnętrznych, von Hammersteina: wymyślają podobno na system wyborczy pruski? Sam Bismarck miał mówić o „najpodlejszem z praw? O ile p. von Hammerstein znał Bismarcka, tenby *o każdem prawie wyborczem* to samo napewno powiedział. „Gdyż niema prawa wyborczego, któreby opinię publiczną tak wyraźnie i dokładnie odzwierciedlało, jak prawo trzyklasowych wyborów w Prusach." Dla reformy zasadniczej nigdy według ministra możliwość się nie znajdzie, a to przedewszystkiem dlatego, że on sam „nigdy do tego nie posłuży, aby podstawy tego prawa zmienić."

Mało znacząca reforma wolno-konserwatywna, nawet przyjęta, rzeczy nie zmieni, gdyż owa pospolita rzecz sejmu pruskiego jest rzeczą na pół absolutnego rządu królewskiego i rzeczą junkrów. Sam nikt dobrowolnie mocy swojej nie odda. Prawo wyborcze i większość sejmowa stanowią koło zaklęte i są jak obręcz, którą trzeba wprzódy złamać, aby z niej wykuć pręt.

Zupełny brak świadomości obywatelskiej, zupełny brak samorządnego wykształcenia politycznego, bezwzględne panowanie klasy i kasty, złączone z uciskiem ludowym w całym kraju, związane u szczytu monarchicznym kształtem rządu, a dla Europy, dla światowego znaczenia i wielkości ubrane w formy reprezentacyjne a więc: kasta junkierska poprzed królem, później dopiero „König in Preussen voran..." itd., według wiekopomnych słów kanclerza—oto treść właściwa każdej rozprawy pruskiej. Cechy te jednak, tak niewykształcenia, jak brutalności politycznej, najwybitniejsze swoje uzewnętrznienie znajdują wtedy, gdy chodzi o politykę względem Polaków; wówczas odsłania się miejsce najbardziej bolesne dla państwa, sam byt jego wchodzi w grę, sam jego los, jak się rozwijał od wypraw wielkiego elektora do śląskiej zdobyczy Fryderyka, do najcięższych dni „siedmioletnich," do rozegranej bitwy i hańby pod Jeną, i później, przez wszystkie dni, gdy ze szczęściem nieledwie niezmiennem, trza było stawiać na kartę samą tę wojenną, zdobywaną budowę państwową.

Ale właśnie wtedy Izba traci głos — odzywa się tylko słabe echo pochwał lub nieśmiałe głosy krytyki. Głos należy nie do „poddanych," którym *wiernymi* być na placu boju, ale jak za dni śląskich Fryderyka II i za ponurych chwil w Poznańskiem 48 roku — steruje władza, egzekutywa, która wszystkim swym podległym, a nietylko Polakom, rzec może śmiało: „naszą rzeczą rozkazywać, waszą — słuchać."

W obecnej dyskusyi budżetowej powo-

*) Rok 1900 zakończył się podwyżką dochodów $71^{1}/_{2}$ mil. — Rok 1901 zakończył się deficytem $37^{1}/_{2}$ mil. — Rok 1902 — przewyżką 15 mil. — Rok 1903 — przewyżką 22 mil. — Przedstawiony projekt kanałowy nie zawiera najważniejszej pozycyi: połączenia Elby z Renem. Pozycya ta trafiwszy na niezłamany opór rolniczego konserwatyzmu, pogrzebała była w roku zeszłym całkowity projekt.

---

2)

Zofia Nałkowska.

LODOWE POLA.

Czasami Janusz jest łagodny, jak młody, oswojony wilk. Z oczu znika mu akcent dzikości. Wtedy pozwalam mu całować moje ręce i tulić do nich rozpalone policzki. Gdy choć na chwilę zaśnie w nim zwierzę, dobry jest i miły, jak dziecko. Ale i wtedy nawet czuję w nim tę siłę potencyalną, która w każdej chwili nanowo może wybuchnąć, siłę, która nie wiem dlaczego, wydaje mi się wrogą.

— Cudnie byłoby móc sobie powiedzieć o pani „ukochana" — mówił dzisiaj, siedząc u nóg mych na ławce darniowej i ocierając się z pieszczotliwością kota o brzeg mej sukni, leżącej na trawie.

Patrzyłam z góry na jego wielkie, opuszczone rzęsy, świeże usta, ładnie modelowany nos — i myślałam: więc czemu nie po wiesz? — jabym cię tylko parę razy długo, miłośnie pocałowała w usta i odeszła bez słowa żalu...

— Czy pani się gniewa? — spytał, podnosząc na mnie oczy.

Ściągnęłam lekko brwi, ale nie mogłam ukryć uśmiechu.

— Tak.

— A jednak wciąż się pani uśmiecha... Czemu się pani uśmiecha tak dziwnie?..

I z pod brwi zrośniętych patrzy na mnie wzrokiem figlarnym i słodkim, a mnie fala ciepła przypływa do głowy. Nigdy nie czułam tego w czasie długich, mądrych rozmów z Rosławskim o literaturze.

* *

Wieczór u Sedniewskich w Topolowie, jakieś imieniny. Jedziemy: ja, Marta, dziadek i Janusz. Zjazd dosyć liczny. Panny z barwności i świeżości podobne zupełnie do kwiatów. Młodzież częścią sprowadzona umyślnie aż z L.

Wchodzę świeża, z twarzą osmaganą wichrem od szybkiej jazdy, z rozsypanemi włosami, w mej bajecznej sukni seledynowej. Tło miłe i oryginalne: wielki salon o nizkim suficie, oświetlony z góry staroświeckim, rozgałęzionym kandelabrem, sypiącym wokoło skry i tęczowe odblaski. Pod ścianami szeregi ładnych, starych mebli. Na werandzie orkiestra zcicha stroi instrumenty.

Wchodząc, robię wrażenie—jak zwykle. Przez chwilę ja jedna przeciwstawiam się wszystkim, na mnie zbiegają się wszystkie spojrzenia. Nie znam tu nikogo prawie, ale ani przez chwilę nie czuję się zmieszana. Pewien wrogi nastrój, idący ku mnie od ludzi, jakieś poczucie osamotnienia w tłumie — daje mi dziwną, hardą, wyzywającą energię. Czułabym się zmieszana wtedy raczej, gdybym tego wrażenia nie robiła i weszła nie zwracając niczyjej uwagi.

Witając się z panią Sedniewską, słyszę z lewej strony półgłośną uwagę: „zupełnie podobna do żydówki," a potem: „ubrana, jak statystka teatralna."

Zwracam się w tę stronę z zainteresowaniem: spostrzeżenie niesłuszne zupełnie w zastosowaniu do mnie, ale sformułowane dość sprytnie. Spostrzegam wysoką, biało ubraną pannę, utrzymaną ściśle w stylu angielskim. Milczy i spokojnie wytrzymuje mój wzrok: napewno ona. Po zapoznaniu się ze wszystkimi, z nią właśnie zaczynam rozmawiać.

Nazywa się Imszańska, ma brzydkiego narzeczonego i ładnego brata, który wydaje mi się najciekawszym zpośród całej młodzieży. Zapytuje mię uprzejmie, jak podobają mi się tutejsze okolice. Później rozmawia z Martą, która w wieczornej su-

dem traktowania szczególnego spraw polskich były przedewszystkiem środki w sumie 10½ mil. marek na zasilanie niemczyzny przez rząd przeznaczone: z tych trzy miliony trzem naczelnym prezydentom do dyspozycyi oddane: milion jako pierwsza rata pięciomilionowego wydatku na niemiecki i pruski zamek królewski w Poznaniu; reszta na wiadome dodatki do pensyi. Drugim powodem dyskusyi było nowe prawo o zgromadzeniach, według którego policya ma na przyszłość decydować o pozwoleniu lub zakazaniu mowy polskiej na zgromadzeniach — czyli odjęcie prawa zebrań Polakom.

Scharakteryzowane powyżej głosy opozycyi, zawarte w przemówieniach wolnomyślnych Richtera i Broemela, centrowców Bachema i Porscha, redukowały się do powtarzania znanej teoryi: „germanizować należy nie tak, a inaczej, bo tak, jak się germanizuje, wzmacnia się tylko moc Polaków"; na co p. Bülow wyjął ze słowniczka swoich łatwych i lekkich odpowiedzi taką: „gdybyśmy rzeczywiście naszą germanizacyą korzyść przynosili Polakom, napewnoby oni nie zwalczali nas w tak ostry sposób": dowód—piłka elastycznej retoryki wykazujący w sposób dosadny płytkość i bezzasadność twierdzenia obu stron.

Że jednak przedmiot walki powiększył się i rzecz zaostrzyła, zauważyć można pewną skłonność opozycyi do ostygnięcia w obronie Polaków: stanowcze, ostre wprost zastrzeżenie się Richtera przeciwko „wrogim państwu" tendencyom, słodkie i gładkie, lecz niemniej stanowcze słowa Bachema i Porscha, radzące Polakom, aby szkodliwej zaprzestali „agitacyi": oto są rzeczy nowe, których zresztą właściwe imię jest: Śląsk.

Według słów prezydenta ministrów i kanclerza, p. von Bulowa, sprawa górnośląska od chwili, gdy stanął na czele rządu, zwróciła jego uwagę. Rozumiemy to zapewnienie dobrze, w szczególności po licznych i ciężkich próbach katowickiej *Gazety* i *Górnoślązaka*, jako też całego polskiego ruchu ludowego na Śląsku. Antipruskim i antiniemieckim jest według p. Bülowa ruch górnośląski, jak o tem współczesna ewolucya trzech głównych organów i trzech stronnictw wśród polskiego ludu przekonywa. W szczególności niepokoi go polski ruch społeczny. „Ręka w rękę z wielkopolską agitacyą kroczy na Śląsku agitacya socyalno-demokratyczna. We wrogości względem każdego autorytetu, względem monarchii i miłości ojczyzny jedna drugiej nie ustępuje."

A przecież kwestya ta — i nowożytny „mąż stanu" może się niebardzo myli — to rzecz niemała. Interesem tej agitacyi — „poprzez Śląsk, przez Górny Śląsk most z Krakowa do Poznania wybudować... My musimy dbać, aby Górny Śląsk niemieckim i pruskim pozostał. Górny Śląsk — *to kraj żelaza, kraj węgla, kraj popytu na masy ludzkie.* Tych bogactw nam potrzeba w czasie pokoju tak samo dla naszego rozwoju gospodarczego, jak *w czasie wojennym— dla naszej obrony.* Stałe i nienawistne podburzanie antagonizmu między polskimi robotnikami a niemieckimi pracodawcami na Górnym Śląsku przedstawia dla nas już w czasie pokoju poważne niebezpieczeństwo. Na wypadek zawikłań wielkopolskie rozagitowanie mas w gęsto zaludnionym, na samej granicy leżącym kraju byłoby źródłem poważniejszych jeszcze niebezpieczeństw. Spojrzeć na mapę wystarczy, aby widzieć, że zaledwie istnieje kraj, gdzieby utrzymanie niemieckiego obyczaju i niemieckiej mowy tak było ważnem."

Zapowiedział p. Bülow prócz tego obfite środki wyjątkowe przeciw ruchowi polskiemu. Podobno powstaną one na gruncie „prawa": czyli możemy się spodziewać nowego, ulepszonego wydania gwałtów policyjnych i strasznego, o pomstę wołającego ucisku przez sądy.

Wystąpiwszy w ten sposób, podlejszą część roboty—omówienie środków policyjnych, pozostawił swym posłusznym „kolegom" ministeryalnym. Zaprawdę, ciekawa to galerya panów—od Rheibabena i Studta do Podbielskiego i Hammersteina. Ten ostatni jest jednak typem jedynym, kompletnym, iście współcześnie pruskim: człowiekiem silnej pięści i oblicza wytartego, bez skazy wstydu.

Owóż p. Hammerstein, zapowiedziawszy wniesienie na bieżącą jeszcze sesyę nowej ustawy o zgromadzeniach, jako też „przedsiewzięcie energicznych środków przeciw wielkopolskiej agitacyi na Górnym Śląsku" *), odpowiadał następnie na przemówienie ks. Jażdżewskiego, wspominającego czasy, kiedy Polacy uczynili pierwszy względem rządu krok, chcąc zawrzeć z nim ugodę. „Obowiązkiem poddanego—odrzekł minister — nie układać się z monarchą, lecz być mu poddanym; takiej wiernopoddańczości brak w prowincyach narodowości polskiej"; i przytoczywszy sądy pism polskich z czasów odsłonienia pomnika Bismarcka w Poznaniu, oraz iluminacyi na urodziny cesarza, zawołał: „Jakiż naród scierpiałby coś podobnego od zamieszkujących w nim części innej narodowości? Myślę, że cierpliwość nasza była już zbyt wielka. My tu nie mamy do czynienia z równoważnymi nam wrogami, naszą rzeczą jest rozkazywać, waszą - słuchać." Po tych słowach prawica daje „żywe brawa," a konserwatywny poseł Irmer wyraził gotowość swego stronnictwa podpisania się pod niemi. Tak brutalny i otwarty wyraz rządowych zapatrywań ze strony drugiego odpowiedzialnego ministra państwa winien był wywołać stanowcze potępienie posłów polskich. Gdy z ławy ministeryalnej podnosi się głos, wyjmujący Polaków z pod praw konstytucyjnych, sądzimy, że dłuższa obecność posłów polskich w sejmowem gronie jest niemożliwą, opuszczenie sejmu i uroczyste odwołanie się do wyborców koniecznem. Jako „naród poddany" nie mamy bowiem możności brania udziału w pracy prawodawczej. Że tak się nie stało, powodem jest prawdopodobnie ciekawe nieporozumienie: końcowy ustęp mowy ministra dość, jak widzieliśmy, wyraźny, interpretowano rozmaicie; nie wszyscy byli mianowicie pewni, czy rozkaz słuchania stosował się do całego zgromadzenia, czy też do Polaków, o których poważnem współdziałaniu z innemi stronnictwami w pracy parlamentarnej niema mowy i nigdy nie było; ale jeśli dlaczego uprawniony jest udział Polaków w sejmie, gdzie właściwie byli zawsze „objektem prawodawstwa," to tylko dla protestu, piętnowania zbrodni czynionych, wypowiadania prosto i jasno słów bezwzględnej prawdy. Naturalnie próżno było oczekiwać takich słów od „nadgrzecznego" mówcy parlamentarnego, jakim jest ks. Jażdżewski, ale nawet poseł Skarzyński mimo godności przemówienia, mimo interesującego opracowania, nie przypuszczał, żeby to się odnosiło wyłącznie do Polaków. I oto poprzestano na ostrej odpowiedzi p. Skarzyńskiego, który stwierdził, że w Izbie nad nieliczną mniejszością wolnych obywateli panuje większość posłusznych i zależnych poddanych; a także powzięto dość szczęśliwą zresztą myśl, jak najszerszego ropowszechnienia mowy p. Hammersteina

*) „Chwilowo środki te ograniczają się do funduszu dyspozycyjnego; gdy zajdzie jednak potrzeba, rząd nie zawaha się dalszych ofiar od patryotyzmu Izby zażądać."

---

kni gorzej wygląda, niż zwykle, jest blada i w twarzy ma pewien przymus.

Po podwieczorku z owocami — tańce.

Tańczyć lubię w równym prawie stopniu, jak jeździć konno. I cudnie tańczę. Raz po raz widzę się w którems z luster długich do ziemi — jasna w jakichś czarnych ramionach, jakby ociągająca się, leniwie i sennie w tył przegięta, ukazująca z za czerwonych warg białe, mocno zaciśnięte zęby; seledynowa gaza opływa mię luźno, jak woda. Białe, wielkie kwiaty nenufarów oplątują mię wkoło elastycznemi, niby węże, łodygami.

Odrazu zaczynam mieć powodzenie — tak, iż panny udają, że nic im nie przeszkadzam i nawet, owszem, lubią mię. Jedna poprawia mi nawet czule szpilkę we włosach. Współzawodniczenie o pierwszeństwo odbiera zabawie przyjemność bezpośredniości, ale daje jej wzamian urok gry—trudnej często, zato upajającej zwycięztwem.

Rytm walca płynie, jak długa łódź po szafirowej wodzie, cicho gra fala, uśpioną piersią gra... Ożyły kwiaty ze szmaragdowych, ze srebrnych w słońcu łąk i same plotą się w wience, plotą się w barwny, rozmigotany krąg, podają sobie cudne, białe ręce — lekko się chwieje łańcuch wiotkich rąk. A później idą w senny, zasłuchany wir... To pieśń stłumiona złotostrunych lir, od śpiących wód pieśń cudna idzie zdala.. Hen — płynie łódź po szafirowej wodzie, nad lustrem wody tańczy srebrna mgła — cicho gra fala, uśpioną piersią gra...

A kwiaty idą w senny, zasłuchany wir i mdleją z żaru w złotym, skrzącym pyle... Posłuchaj — kwiaty szemrzą — daj nam po żarze światła i barw na świeżych łąk kobierzec szmaragdowy upaść na chwilę, daj nam pochylić upojone głowy na ros perłami szyte wezgłowie traw - i we śnie słuchać pieśni złotostrunnych harf.. Nie — nie — raz jeszcze raz plećcie się w żywe, migotliwe wieńce, raz jeszcze raz zczepcie w łańcuchy miękie, białe ręce... To sen... to sen... Rytm walca płynie, jak długa łódź po szafirowej wodzie — hen... Idzie pieśń cicha złotostrunnych harf... To sen... to sen...

Po odtańczonym z Inszańskim walcu z figurami idę z Januszem do oberka. Z nadzwyczajną energią prowadzi dzisiaj tance — w tej dziedzinie jest *sans peur ni reproche.*

Z nim lubię tańczyć najbardziej. Ponosi mię, jak rozhukany koń. W największym pędzie przyklęka nagle i zrywa się znowu z błyskawiczną szybkością, nie zdradzając najmniejszego wysiłku. Po okręgu niewielkiego koła, pochyleni silnie ku jego środkowi, wirujemy z jakąś zawrotną szybkością, jak oszalałe planety. Mocno spleceni uściskiem, kładziemy się na fali rozpędu i tak mkniemy z półprzymkniętemi oczami — bez woli i prawie bez świadomości; unosi nas już tylko inercya, sami nie nadążylibyśmy za takim szalonym pędem. Otacza nas jakiś półmrok świetlisty, stężały, duszący— światła, lustra, barwny krąg widzów przestał już wirować wkoło nas, wszystko miesza się z sobą w jedną, ogólną barwę, jak na puszczonym w ruch krążku.

W oczach Janusza palą się dzikie ognie, żrenice migocą mu, jak dyamenty w słońcu. Ten pęd szalony i odurzające swą monotonną jaskrawością dźwięki skocznej melodyi podniecają go, jak ludzi pierwotnych tańce wojenne.

A ja spokojna jestem, chociaż gorący jego oddech oblewa mię żarem. Mdlejąc ze zmęczenia, oddaję się pokornie na łaskę jego porywającej, dzikiej siły.

Wracam wreszcie na miejsce. Ogłusza nas grzmot oklasków. Dziękuję ukłonem głowy, ale nic jeszcze nie widzę. Jednocześnie prawie brzmi zupełnie spokojny głos Janusza, który poleca orkiestrze grać mazura.

— Tańczy pani, jak łabędz — mówi panna Inszańska, siadając przy mnie. — Brat

wśród ludu. Faktem jest jednak, że Polacy znieśli ze względnym spokojem palącą, w twarz rzuconą im zniewagę.

Ziemomysł.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Odpowiedź rosyjska na najnowszą notę japońską nadejść miała do Tokio w bieżącym tygodniu. Obie strony się zbroją. Japończycy wzmacniają straże kolejowe i poselskie na Korei; wojska rosyjskie stoją już za pograniczną rz. Jalu, na terytoryum koreańskiem.

Turcya nie robi nic na rachunek swych zobowiązań względem Rosyi i Austryi. Widoczne zbrojenie się Bułgaryi i polityczna jej gotowość do ruchu wiosennego zmuszają Portę do myślenia przedewszystkiem o sobie, o gromadzeniu wojska. Sułtan nie przyjął komisarzy cywilnych, pp. Demeryka i Müllera; odłożył przyjemność widzenia ich na później.

Ruchawka ze środka stycznia na pograniczu bułgarskiem nie rozszerzyła się i ucichła. Zato nie cichnie spór w notach do Europy między Bułgaryą i Serbią a Turcyą: obie strony zarzucają sobie działanie na szkodę. Turcya przytacza fakty niepozwalające wątpić o czynnej sympatyi, jeśli nie rządu, to władz mu ulegających, dla powstańców; Bułgarya przeczy i opowiada gwałty i nadużycia, które również wątpliwości nie ulegają. Ludność turecka wroga jest nietylko Bułgarom i Serbom, ale i reformom macedońskim, a niechęć ta najpiękniej krystalizuje się w stolicy. Sułtan musi się z nią liczyć. Spór zaostrza się zwolna w walkę nietylko narodową, ale i t. zw. rasową. Turkom ostatnia godzina w Europie wkrótce może już wybić, wkrótce, za lat kilka.

W Niemczech najważniejsze jest wysłanie wojsk do Damara-Namaland. Hererom przybyły posiłki ze współplemieńców. Mają podobno 2 armatki, a siły ich ocenić można na jakie 2,500—3,000 ludzi. Grozi im straszny odwet za mordy, których się rzeczywiście dopuścili. Ostateczne zmożenie ich jest sprawą jakich dwu miesięcy. Cywilizacya znowu święcić będzie swe tryumfy.

We Francyi na porządku dziennym odjęcie stowarzyszeniom religijnym nawet upoważnionym prawa nauczania. Mniej skwapliwym jest p. Combes do zupełnego odłączenia państwa i zerwania konkordatu: projekt ma, wyszły już nawet z komisyi, ale wprowadzenia go na porządek dzienny Izby dla drugiego odczytania wcale się nie domaga.

Anglia przeobraża swój zarząd wojskowy. Zniesiony będzie wódz naczelny; zastąpi go rada obrony narodowej; minister wojny, dotychczas zwykle młody lordowicz lub esquire— był nim i Macaulay — ma dostać wyższą rangę, będzie porównany z pierwszym lordem admiralicyi. Jest i — nierządowy jeszcze — projekt służby powszechnej. Kontynent może powiedzieć, zacierając ręce: *Tout comme chez nous!* Przyjaciele pokoju przegrali — swe nadzieje. Wieki jeszcze całe będą nieszczęśliwymi graczami. Unioniści zaczynają się odrywać od zachowawców. — W Tybecie Younghousbanda wstrzymały śniegi i mrozy; wstrzymają na wiosnę krajowcy.

W Urugwaju i w Rzeczypospolitej Dominikańskiej ciągle jeszcze rewolucya.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Skarbiec samopomocy.

(Projekt).

Potrzeby ogólne wciąż rosną, a nierzadko przybierają rozmiary niepokojące, olbrzymie, my zaś, żyjąc po największej części z dnia na dzień, choć myślą wybiegamy po za jutro, klęskom chwili niezdolni jesteśmy przeciwstawić czynu energii przezornej i dalej po za teraźniejszość sięgającej. Ludzie poważnie myślący doznają coraz większej troski wobec tej naszej bezradności. Czyż dusze nasze, jak ptaki uwięzione w szklanych klatkach, tłuc się tylko zawsze będą o przezroczyste ściany własnych pragnień i rojeń świetlanych, zapuszczając wzrok w dal szerokich, rozłożystych widnokręgów, których nigdy skrzydłem życia nie dosięgną?

Raz po raz u stóp naszych roztwiera się przepaścista bezdeń nędzy, niedoli, coraz szersza, coraz dalej w głąb schodząca, a my jak dzieci rzucamy w nią stare, zużyte zabawki przedwiekowych pomysłów i środków zapobiegawczych, jak dzieci umiemy tylko rozpaczać, że to nie skutkuje.

Nie skutkuje dorywcza jałmużna, nie skutkuje okolicznościowo złożony dowód współczucia i braterstwa, nie pomaga największa nawet chwilowa ofiara — przepaść wciąż stoi otwarta, nic jej zasypać nie może, nic rozjaśnić mrocznych jej głębin, rozproszyć lodowatego smutku.

A gdybyśmy, zamiast wielkich porywów rozczulonego i prędko stygnącego serca, zamiast nadludzkich i moc dawczą szybko wyczerpujących wysiłków, sprobowali systematycznej, codziennej, spokojnej, mniej wybuchowej, lecz za to wytrwałej i dobrze zorganizowanej pracy? Przestańmy raz oglądać się na tę garstkę ludzi możnych, od których w potrzebie pomocy oczekujemy i brać ją przywykliśmy — nie zastanawiając się nad tem, jak ryzykowna jest taka zależność od dobrej woli jednostek — urządźmy się tak, aby żadna klęska, żadna potrzeba nie zastała nas nieprzygotowanymi: utwórzmy kapitał z dobrowolnych ofiar społeczeństwa, mając na względzie taką jednostkę płatniczą, której wydatek nie mógłby zaciążyć na najuboższym nawet budżecie, dajmy na to: 1 rubla na rok od głowy. Rozdział tych groszy, które naturalnie, w razie urzeczywistnienia całej myśli, przedstawiałyby się nie w jednostkach, ani w dziesiątkach, lecz w setkach tysięcy rubli — zależałby od potrzeby chwili. Zniknęłyby może wówczas mary tłumów, ginących śmiercią głodową po przejściu jakiejś strasznej klęski żywiołowej nad krajem; nie byłoby groźnych zapowiedzi wydaleń ze szkół z powodu niezapłaconego wpisu; łatwiej byłoby wznosić szpitale, budować szkoły, tworzyć instytucye użyteczności ogólnej — gdyby istniał taki skarbiec stałego i niewyczerpującego się zasiłku.

A doprawdy, aby mógł powstać, trzeba tylko kilku ludzi, a może nawet jednego, któryby tą myślą chciał się przejąć, któryby miał czas i siłę woli do przeprowadzenia jej przez wszystkie stopnie, niezbędne do praktycznego urzeczywistnienia i dość w sobie zapału, aby przekonać i zagrzać do niej innych.

Czesi przecież w ten sposób zebrali pieniądze, za które wznieśli w Pradze teatr — przybytek sztuki narodowej. A nasze potrzeby są daleko poważniejszej natury; my w porównaniu z Czechami jesteśmy nędzarze łachmanami okryci. Czyż nie czas pomyśleć o ich zrzuceniu?

Raz do roku rubla tylko rzuciłby każdy, jak cegiełkę na stos, z którego budowałby sobie naród przybytki, świadczące o dobrem sercu i przezornej jego myśli, a o przeznaczeniu tej cegiełki mógłby się każdy naocznie przekonać, wskazać niemal miejsce jej zużytkowania.

---

mój utrzymuje, że nigdy nie widział nic podobnego...

W przerwach między tańcami przechadzka po obszernym, cienistym ogrodzie. Bielejące wśród czarnych trawników tytonie wydają dziwnie odurzający zapach. Na mnie schodzi obłąkane jakieś rozmarzenie. Zdaje mi się, że nie jestem na ziemi, tylko w piekle kwiatów, muzyki, piękności, tryumfu, nocy. Opieram się mocno na ramieniu Janusza i prawie tulę do niego. W ciemności błyskam zębami i mrużę półsennie długie moje rzęsy. Janusz pochyla się ku mnie i szuka wzrokiem moich oczu.

— Spojrzyj — szepce gorąco, niecierpliwie.

Płomień mię ogarnia, ale odwracam głowę i patrzę z uporem w czarną gęstwę krzewów. W myśli zaś powtarzam szybko, prawie błagalnie: „pocałuj mię teraz właśnie, teraz, teraz..."

Przed chwilą majaczyła jeszcze przed nami jasna plama jakiejś sukni. Obecnie jesteśmy zupełnie sami. Oczy nasze przywykają zwolna do ciemności, rozróżniamy już kształty drzew, widzimy smugę wązkiej, ujętej w prawidłowe ramy wysokich żywopłotów ścieżki, którą idziemy. Przed spojrzeniem naszem uciekają szybko czarne, kłębiące się cienie, a potem napływają znowu.

Nagle za gardło ściska mię dreszcz strasznej, nieludzkiej trwogi.

— Jezus Marya! — patrz!

— Co? co?..

Zakrywam ręką oczy i przyciskam się do niego, cała drżąc z przerażenia.

— Tu, pod nami, głęboko w dole, strasznie głęboko — jest woda...

— Więc cóż? — niech się pani nie boi, znam ten ogród: to kanał, prowadzący do stawu.

— Chodźmy stąd, chodźmy prędko... Taki dziwny był ten połysk — w ciemności, przez liście — i tak strasznie głęboko...

— Ale nie moglibyśmy tam wpaść, bo tu jest baryera kamienna.

— To nic — szepcę nieprzytomna z trwogi — nie mogę tam patrzyć... Chodźmy stąd!..

Wracamy szybko. Janusz milczy, ramieniem wyczuwam, że drży także. Mógł mię był uspokoić jednem powiedzeniem: „przy mnie nie bój się niczego," bo przed chwilą jeszcze ufałam mu bezgranicznie. Teraz widzę, że się boi.

Dochodzą nas dźwięki strojonych instrumentów, z za czarnych drzew wybłyska rząd pełnych światła okien.

— Nie boję się lasu w nocy — mówi Janusz — nie boję się rozbójników, ani zwierząt dzikich, ale nie lubię rzeczy niewytłomaczonych...

Rozumiem — i ja również, ale zdawało mi się...

Tańczę wesoło do rana. Przykre wrażenie mija zupełnie.

Za powrotem zmieniamy miejsca. Marta jedzie z dziadkiem, ja z Januszem. W brzasku majaczeją cudne krajobrazy, wzgórza, porosłe czarnym lasem, białe, jak śnieg, rżyska. Po całym świecie rozlewa się dziwna, chłodna światłość. Na coraz silniej różowiejącem niebie rysują się kolejno wciąż nowe zarysy czarnych wzgórzy, samotnych grusz polnych, szeregiem wyznaczających szosę wązkich, czarnych topoli.

Jedziemy długo drogą pełną wybojów, wspinającą się kolejno w górę i spadającą w doliny. Jest bajeczny wiejski nastrój. Mówimy po francusku przed stangretem — Janusz ma zupełnie dobry akcent.

Wschodzi słońce i rzuca wyraźny, długi, potworny cień na drogę od powozu, koni i naszych postaci.

Jestem odurzona bezsenną nocą, mam twarz gorącą i palą mię usta. A drżę z zimna mimo pledu i dery. Zamykam oczy i głowę przechylam na oparcie powozu. Słyszę skrzypienie kół, tętent kopyt, parskanie koni i nieśmiały, urywany świegot budzących się ptaków. Nie śpię — i marzę.

A wreszcie, gdyby tego projektu nie dało się przeprowadzić, jest jeszcze wiele innych sposobów stworzenia stałego zasiłku, mniej może ogólnych, lecz równie poważne mogących dać rezultaty. Niech cała prasa wezwie swoich prenumeratorów do niewielkich składek — tyleż przecież pism w kraju wychodzi — niech z pieniędzy tą drogą zebranych utworzy wspólną kasę, której dochody mogłyby być jawnie i rozumnie na najpilniejsze potrzeby społeczne obracane. Nie chodzi o tę lub inną formę, lecz o myśl zasadniczą, mianowicie, żebyśmy dorywcze, od warunków chwili, nastrojów i usposobień zależne, a więc zawsze niepewne i zawsze skomlącą żebraniną zdobywane datki zastąpili stałem zobowiązaniem się społeczeństwa do zaspokajania swych potrzeb, stałym przypływem dobrowolnych składek obywatelskich, nieprzerwanym prądem jego ofiarności. Tańcowanie, ślizganie się, flirtowanie, urządzanie rozmaitych igrzysk na odzianie i nakarmienie biedaków, na opłatę wpisów szkolnych, na zasilanie instytucyi społecznych powinno raz ustać, ustępując miejsca rozumnej i uczciwej samoopomocy. Czy w tym celu trzeba stworzyć jakąś nową organizacyę, czy przyłączyć się do istniejącej, to sprawa praktycznego wykonania, nad którą osobno zastanowić się należy; my dziś rzucamy tylko samą ideę.

R. P.

Z nad Warty i Odry.

Kandydatura p. Korfantego. — Ożywienie na Górnym Śląsku. — Małe banki parcelacyjne. — Fiasko Komisyi kolonizacyjnej. — Niefortunny występ Bandrowskiego.

Poseł Głębocki, umierając, pozostawił społeczeństwu poznańskiemu kość niezgody w postaci wakującego mandatu do sejmu pruskiego i do parlamentu. Istotnie, konserwatyści i ludowcy przypomnieli sobie niedawne czasy przed ogólnymi wyborami do ciał ustawodawczych Prus i Rzeszy i powtarzają te wszystkie ataki, których widownią były wiece ówczesne. Zachodzi jednak pewna różnica pomiędzy majową i czerwcową walką o mandat śremsko-wrzesiński w roku ubiegłym a toczącą się obecnie. Wówczas konserwatyści poznańscy zwalczali z całą zaciętością wrogiego sobie przedstawiciela „ostrego tonu,“ ale takiegoż, jak i oni sami poznanczyka. Dziś kandydatura posła Korfantego wprowadziła zupełnie nowy czynnik do walki politycznej. Wybór Górnoślązaka Korfantego w jednym z okręgów poznańskich byłby ponownem stwierdzeniem faktu, że społeczeństwo polskie uznaje Górny Śląsk za takąż samą organiczną część całokształtu prowincyj krajowych, jak Poznańskie i Prusy Zachodnie. Już wejście Korfantego do Koła polskiego, reprezentującego dotychczas tylko te dwie prowincye, jako „historycznie“ polskie, było potężnym wyłomem w murze tradycyj politycznych społeczeństwa polskiego, pod berłem pruskiem. Wywołało ono duże niezadowolenie w kołach rutynistów, trzymających się ślepo utartych dróg tradycyjnych. Musiano się jednak w końcu pogodzić z faktem, dla wielu niezwykłym i wprost dzikim. Kiedy jednak po śmierci posła Głębockiego w kołach ludowców poruszono myśl, czy nie byłoby właściwem wprowadzenie tegoż posła Korfantego i do sejmu, nawet ci, co się już zdążyli pogodzić z obecnością jego w Kole, wystąpili z protestem.

Zwolennicy kandydatury Korfantego w Poznańskiem motywowali swój projekt w następujący sposób. W parlamencie niemieckim Górny Śląsk posiada już swego przedstawiciela w Kole polskiem, należy się więc postarać, aby i sejmowe Koło polskie miało pomiędzy swymi członkami Ślązaka — jeśli już nie wybranego na Śląsku, to przynajmniej urodzonego w tej prowincyi. Obok tego powodu natury zasadniczej wysuwano też względy praktyczne. Mianowicie, ponieważ Korfanty, jako poseł do parlamentu, nie otrzymuje dyet, przeto należy mu zabezpieczyć pobyt w Berlinie za pomocą zdobycia dlań mandatu sejmowego, gwarantującego dyety. Ten ostatni motyw spotkał się przedewszystkiem z zarzutami konserwatystów, którzy umiejętnie wyzyskali słabe jego strony. Jeden z nich zaproponował nawet rozpisanie składek publicznych na utrzymanie Korfantego w Berlinie i pierwszy ofiarował kilkanaście marek.

Trudniej poszła sprawa z obaleniem zasadniczych motywów kandydatury Korfantego. Świadomość narodowo-polityczna w szerszych kołach wyborców jest już dziś o tyle rozbudzona, że fakt organicznej przynależności Górnego Śląska do reszty ziem polskich stał się — przynajmniej śród opozycyi — dogmatem. Niepodobna więc było zwalczać kandydatury górnośląskiej jako takiej. To też wysuwano inne zarzuty, głównie dotyczące osoby kandydata. Te zarzuty — a pomiędzy nimi było niemało niesłusznych — nie mogły jednak nikogo z opozycyi przekonać, gdyż konserwatyści nie umieli udowodnić, że poseł sejmowy musi posiadać inne kwalifikacye, niż poseł do parlamentu. Próbowano mówić o ostatecznem zerwaniu z centrum, gdyby Korfanty został wybrany, ale ten argument niebardzo już dziś skutkuje, zwłaszcza kiedy ogół wyborców widzi, jak centrum z każdym dniem niemal staje się coraz bardziej rządowem i hakatystycznem. Próbowano wysuwać kandydaturę innego Górnoślązaka, byle nie Korfantego, ale i to nic nie pomogło. Przeniesiono więc walkę na zebrania przedwyborcze.

Na tych zgromadzeniach konserwatyści i księża, stanowiący awangardę reakcyi, dokładali wszelkich usiłowań, aby sterroryzować wyborców. Uciekano się do fałszerstw przy obliczaniu głosów, a na zebraniach przedwyborczych niekiedy przychodziło niemal do bójek. W końcu jednak opozycya zwyciężyła, kandydatura Korfantego przeszła na zebraniach powiatowych w Śremie i Środzie i została uchwalona przez instytucye wyborcze. Ludowcy więc wraz z narodowymi demokratami tryumfowali, a konserwatyści uderzają w ton Kasandry i obiecują w swych organach jakieś niesłychanie zgubne następstwa wyboru Korfantego. Nie jest rzeczą niemożliwą, że konserwatyści postarają się urządzić jakąś dywersyę w dniu wyboru, szerzą się bowiem pogłoski o powstrzymaniu się znacznej liczby konserwatystów od wyboru, co zresztą nie wpłynie chyba na jego wyniki i Korfanty otrzyma drugi mandat wraz z dyetami.

Postawienie kandydatury Korfantego jest naprzód porażką duchowieństwa, które najzajadlej przeciwko niemu występowało bez względu na to, że Korfanty niejednokrotnie już zdążył złożyć dowody swej prawomyślności katolickiej. Ale klerykali nie chcą mu darować jego niedawnej przeszłości, kiedy nie potrzebując poparcia duchowieństwa ośmielał się wypowiadać myśli przykre dla klerykałów. Jest nadzieja zresztą, że Korfanty, idąc raz obraną drogą, zmaże w przyszłości swe dawne grzechy i odzyska sympatye kleru.

Janusz pochyla się nade mną i delikatnie, jakby nie chcąc mnie zbudzić, dotyka ustami moich ust.

Nie poruszam się zupełnie, udaję, że śpię, chociaż wiem, że Janusz wie, że nie śpię...

To nadchodzi mój złoty poranek...

* *

Jeden z ostatnich upalnych dni letnich. Idziemy z Martą kąpać się do stawu za parkiem. Lubię patrzyć na nią, kiedy jest rozebrana. Ona oburza się niby, ale tak długo nakłada koszulę kąpielową, że mam czas przyjrzeć się jej doskonale. Po kąpieli — czyste i chłodne — kładziemy się w parku na puszystej, żywiołowej trawie. W koło nas stoją amfiteatralnie wysokie nagie pnie drzewne, a gdzieś w górze dopiero, pod samym niebem, rozpościera się jasno-zielone sklepienie liści.

— Ciekawam — mówię — co myślą sobie brzydcy ludzie... My tak przywykłyśmy do tego, że jesteśmy ładne. — Zdaje mi się, że gdyby mi odjęto piękność lub choćby tylko świadomość mej piękności — to nie umiałabym dalej żyć... Dlatego tylko jestem taka silna wobec ludzi. — Na słońce bez parasolki, w salonie siadam w pełnem świetle, twarzą do lampy, w tłum wchodzę z podniesioną głową — bez onieśmielenia, bez trwogi, bo wiem, że mój widok sprawić im może tylko przyjemność. Ja dlatego tylko dobra jestem, że jestem ładna — nie zazdroszczę nikomu, nikogo nie nienawidzę, jestem pełna pogańskiej jakiejś, słonecznej, królewskiej miłości dla ludzi.

— A jak sądzisz, która z nas jest ładniejsza? — zapytuje Marta.

— Nie wiem... Właściwie każda uważa się za ładniejszą od drugiej. Tylko jesteśmy na tyle kulturalne, że nie spierałyśmy się o to jeszcze ani razu.

Formalnie ona jest ładniejsza, ale mniej ma odemnie wdzięku. Ja mam takie złote oczy, jakich nigdy jeszcze u nikogo nie widziałam.

* *

Często chodzę z Martą parę wiorst do lasu, gdzie leży cmentarz żydowski, tak zwany kirkut.

Ociosane, równo ustawione tablice kamienne stoją, wyciągnięte w długie, równoległe rzędy; na nich malowane dziwne jakieś kabalistyczne znaki, lwy, złamane świece, półki z książkami, jakieś dekoracye niemal secesyjne. Niewidzialne prawie wzniesienia grobów pokrywa mech, wrzos i macierzanka, płot drewniany, przez który zawsze przełazić musimy, gnie między pniami sosen. — I tak wśród napozór nieporuszonego ręką ludzką lasu wyrastają prawidłowe rzędy tablic kamiennych. Mam wrażenie, że cofnęłam się w jakąś zamierzchłą przeszłość.

Lubię cmentarze, lubię patrzyć na tryumf życia nad śmiercią. I nie boję się już wtedy śmierci.. Śmierć zabija jednostki tylko, przypadkowe przejawy życia — a samo życie trwa... Więc myślę wtedy, że jestem całą ludzkością, że to ja właśnie jestem życiem. Byłam zawsze i zawsze będę. A śmierć śpi cicho pod memi nogami.

I doznaję rozkosznego wrażenia nieskończonej jakiejś potęgi. Nie widzę krańca trwania mego i mego panowania. Nie jestem na ziemi, nie jestem Janką Dernowiczówną, nie jestem ładna ani brzydka — jestem wieczna, nieuśpiona świadomość, jestem wszechświat.

A Janusz na cmentarzu robi się smutny i rozprawia na temat znikomości rzeczy ziemskich. To ładne zwierzę boi się śmierci.

...Może to prawda, że zwierzęta nie mają duszy?

*

(C. d. n.).

Trudniej mu pójdzie z utrzymaniem sympatyi swych wyborców górnośląskich, którzy bardzo są niezadowoleni z roli, jaką odegrał Korfanty w procesie o rozruchy laurahuckie. Pomimo, że o udział w tych rozruchach byli oskarżeni najbliżsi krewni (ojciec i brat) jego, nie objawił on niczem swego zainteresowania procesem i niczem nie przyczynił się do ulżenia ciężkiej doli skazanych.

Niezadowolenie z Korfantego na Górnym Śląsku wypływa nietyle z nieczynności jego, co z bardzo ruchliwej działalności jego chwilowych sojuszników wyborczych, którzy uzyskawszy od niedawna w Katowicach lokal związkowy do zebrań, gromadzą się tam bardzo licznie co niedziela. Bywa na tych zgromadzeniach po kilkaset, czasem do tysiąca ludzi — rzecz na Górnym Śląsku niesłychana. Jakkolwiek mieszkanie zostało ufundowane przez partyę niemiecką, to jednak na zebraniach brzmi prawie wyłącznie język polski ponieważ olbrzymią większość stanowią robotnicy-Polacy. Przemawiają pp. Brzeskwiniewicz, który od paru miesięcy osiadł przy *Gazecie* katowickiej przybywszy tu z Berlina, Trąbalski, Kunze z Lipska oraz miejscowi ludzie — prości robotnicy górniczy i hutniczy. Od czasu do czasu odezwie się i referent niemiecki, poczem któryś z Polaków podaje treść jego przemówienia po polsku. Jednem słowem w okręgu katowickim zapanowało wielkie ożywienie w sferach nieprzyjaznych *Górnoślązakowi*, zmuszonych koniecznością do popierania kandydatury Korfantego podczas ostatnich wyborów parlamentarnych.

Ożywienie to posiada rękojmię trwałości wskutek dobrych stosunków pomiędzy robotnikami niemieckimi a polskimi, jakie panują obecnie na Górnym Śląsku, co tłomaczy się faktem, że jątrzące wpływy p. Róży Luxemburg nie mają tu żadnego znaczenia. Tymczasem około *Górnoślązaka* daje się obecnie spostrzedz zastój — może chwilowy, ale w każdym razie fatalnie odbijający się na interesach tego obozu. *Górnoślązak* utracił jednego z wybitniejszych publicystów, p. Karasa, który wyniósł się w Poznańskie — na posadę w banku parcelacyjnym i tym sposobem pismo obniżyło się pod względem redakcyjnym. Z drugiej strony p. Napieralski dokłada wszelkich usiłowań, ażeby podkopać politykę *Górnoślązaka* i z wytrawnością starego lisa jezuickiego tłomaczy i centrowcom i poznańczykom, jak szkodliwą jest robota *Górnoślązaka* i Korfantego.

Powoli z mgły nieokreśloności zaczynają się wyłaniać konkretne kształty nowych zapędów antipolskich. Niedawno dowiedzieliśmy się, że jeden z projektów prawa, które będzie wniesione w sejmie już w sesyi bieżącej, ma na celu zakneblowanie Polakom ust na zebraniach publicznych. Obecnie jasnem już jest, że rząd pruski przygotowuje się do zadania ciosów dwom instytucyom polskim, oddającym społeczeństwu niepożyte usługi. Chodzi mianowicie o banki ludowe i towarzystwa parcelacyjne. Zwłaszcza banki, których się sporo w ostatnich czasach namnożyło, są solą w oku hakatystom. Rząd zakazał już nauczycielom ludowym składać oszczędności w tych bankach i zmusza obecnie wszystkich urzędników Polaków do wycofania się z tych instytucyj. W jaki sposób da się zahamować rozwój tych banków w drodze ustawodawczej, na razie jeszcze nie wiadomo.

W ostatnich czasach banki ludowe wyłoniły z siebie nowe instytucye, bardzo pożyteczne, a mające wszelkie widoki powodzenia i rozwoju, mianowicie drobne banki parcelacyjne. Banki te, korzystając z kapitałów, nagromadzonych w bankach ludowych, posiadają jedynie dyrekcyę, składają się z ludzi odpowiedzialnych, pod względem finansowym, którzy podejmują się pracy zupełnie bezpłatnie, przyczem cała procedura operacyj finansowych takich banków jest ogromnie uproszczona.

Skoro chodzi o uratowanie jakiegoś drobnego właściciela od licytacyi, albo o zapobieżenie przejścia danego kawałka ziemi w ręce Komisyi kolonizacyjnej, jeden z członków dyrekcyi jedzie na miejsce i ocenia własność, mającą pójść na sprzedaż, poczem dobiera gospodarzy, którzyby mogli rozebrać między siebie albo całą tę własność, albo taką jej część, która pokryje długi, gdy reszta pozostanie przy rodzinie dłużnika. Potem dyrekcya umawia się z polskimi kolonizatorami co do spłaty rat, pożycza pieniądze w banku ludowym, płaci za całą posiadłość sprzedawaną i oddaje ją nowym właścicielom. Wszystko przeprowadza się ustnie, ponieważ dyrekcye banków parcelacyjnych składają się z ludzi znanych, zaś dokumenty potrzebne wystawiają się dopiero później. Rzecz się więc przeprowadza w taki sposób, jak gdyby jeden z członków dyrekcyi nabywał posiadłość dla samego siebie.

Pierwszy taki bank powstał w Przemencie i w ciągu zeszłego roku nabył na rachunek włościan 1555 morgów ziemi, na co pożyczył w banku ludowym przeszło 463,000 marek, przyczem wywiązał się ze swego zdania w zupełnie zadalający sposób. Wobec tego na ostatnim zjeździe delegatów spółek zarobkowych zalecono tworzenie takich małych banków parcelacyjnych we wszystkich powiatach i nawet w poszczególnych gminnach.

Istotnie wkrótce potem powstały takież banki w Inowrocławiu i Śremie, a obecnie ma się zawiązać cały ich szereg, gdyż pokazało się, że operacye tych banków są bardzo korzystne i mało ryzykowne. Obok tej akcyi, mającej na celu obronę drobnej własności chłopskiej, powstają i wśród właścicieli folwarków nowe pomysły walki z Komisyą kolonizacyjną i niemieckim landbankiem. Obok Banku ziemskiego powstało „Towarzystwo ziemian,“ w celu niesienia pomocy sąsiedzkiej właścicielom folwarków i zapobiegania ruinie w razie niepowodzenia. Stowarzyszeni wspierają się wzajemnie radą, kredytem i pomocą gospodarską. Następnie została utworzona spółka, do której każdy wnosi swą posiadłość ziemską, a wszyscy razem prowadzą zarząd bez prawa odłużania ziemi. W ten sposób koszta administracyi i wydatki na maszyny rolnicze znacznie się zmniejszają, gdy zysk ze wspólnej sprzedaży produktów jest większy.

Wobec tych mnożących się objawów samoobrony tak wielkiej, jak i drobnej własności polskiej, działalność Komisyi kolonizacyjnej staje się coraz trudniejszą — tem bardziej, że najsłabsze ekonomicznie majątki polskie zostały już przetrzebione, a czujność opinii publicznej ogromnie utrudnia Komisyi nabywanie polskich posiadłości ziemskich. Nic więc dziwnego, że coraz częściej dają się słyszeć w prasie niemieckiej głosy pesymizmu na tym punkcie. Tak np. *Posen. Zeitung* pisze: „Jest jasnem, że instytucya, dla której w ostatnich dziesięcioleciach wyznaczono setki milionów celem utrzymania ziemi w Księstwie Poznańskiem w ręku Niemców, że komisya kolonizacyjna zupełne zrobiła fiasko. Nietylko dlatego, że od szeregu lat nie udaje się jej nabywać majątków z rąk polskich i że swoją działalność musi ograniczyć na podnoszeniu na nogi „junkrów“ niemieckich, których bieda dotknęła, ale że ich „narodowe usposobienie,“ z którem tak często się chwalą, doprowadziło do tego, iż komisya kolonizacyjna musi im płacić za ziemię nader wysokie ceny. Z powodu cen wygórowanych nie opłaca się gospodarstwo biednym chłopom, których się zwabia ze wszystkich stron niemieckiej ojczyzny, a nawet z Galicyi i Rosyi. Stąd pochodzi, że ci w swoich nadziejach zawiedzeni koloniści przy ostatnich wyborach dla okazania swojej niechęci głosowali w części wprost na Polaka, a w części wstrzymali się od głosowania. Komisya kolonizacyjna jedynie to spowodowała, że wszystkie warstwy ludności polskiej ściśle się zjednoczyły i do intensywniejszej pobudzają się działalności. Polska własność ziemska powiększyła się, a niemiecka się zmniejszyła, pomimo milionów komisyi kolonizacyjnej.“

Zwątpiwszy, że komisya kolonizacyjna wyprze Polaków z posiadłości ziemskiej, *Posener Zeitung* domaga się zmiany jej ustawy w tym kierunku, aby rozpoczęto osadzanie po miastach niemieckich rzemieślników i aby niemieckim urzędnikom pomagano do nabywania posiadłości miejskich. Pomysł wcale dowcipny, ale czy przyczyni się on do germanizacyi „kresów zachodnich“ — o tem można wątpić.

Sprawa występów Bandrowskiego w poznańskim teatrze niemieckim wywołała burzę niezadowolenia w społeczeństwie wielkopolskiem. Wówczas kiedy Polacy bojkotują teatr niemiecki, kiedy teatr polski w Poznaniu ledwo się może utrzymać, występowanie Polaka w teatrze niemieckim jest czemś poprostu zdrożnem, to też niepodobna dziwić się powszechnemu oburzeniu na Bandrowskiego czy Bandrowsky'ego, jak go nazwały afisze niemieckie. Zresztą musiał on wobec tego oburzenia przerwać swe występy po drugiem przedstawieniu, gdyż i Niemcy nie chcieli go słuchać ze względów hakatystycznych. W ten sposób Bandrowski wyszedł na swych występach poznańskich, jak Zabłocki na mydle.

Pośrednik.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Do duchów wskrzeszonych.

„W państwie pruskiem niema Polaków, są tylko Prusacy mówiący po polsku.“

„Jedyną drogą do przyszłości dla poddanych pruskich, mówiących po polsku, jest jak najprędsze i zupełne zgermanizowanie się.“

„Niech poddani pruscy, mówiący po polsku, zniemczą się całkowicie, wtedy rząd ich równouprawni z innymi obywatelami kraju.“

„Nie odstąpimy nigdy, nie damy sobie wydrzeć i nie pozwolimy na wyodrębnienie narodowe dzielnic zdawna germańskich, później należących do b. Rzeczypospolitej polskiej, a ostatecznie odzyskanych naszą krwią i podniesionych naszą kulturą.“

„W ziemie Poznańskiego, Prus wschodnich i Śląska musi głęboko zapuścić korzenie las niemiecki, bo to jest gleba przez Opatrzność dla niego wybrana.“

„Naszem prawem jest rozkazywać, a ich obowiązkiem słuchać.“

Zmartwychwstańcie duchy czterech Potockich, biskupów Krasińskiego i Rybińskiego, wszystkich wreszcie „patryotów“ z końca XVIII wieku — i słuchajcie! Tak mówią ci, których przodkowie zaledwie przed 300 kilkudziesięciu laty otrzymali wspaniałomyślną łaską królów polskich prawo niepodległego istnienia! Tak mówią ci, których przodkowie przed stu kilkunastu laty zapewniali was o swojej serdecznej przyjaźni. I wy wierzyliście tym zapewnieniom, ogłosiliście je nawet za dog-

mat „patryotyzmu.“ Pamiętacie — wszakże (w r. 1788) król pruski nazwał się w swej nocie „najdawniejszym sprzymierzeńcem Rzeczypospolitej,“ na co Suchodolski zawołał w sejmie: „Nota pruska — to wolność!“ Wszakże ten rozkochany w Polakach monarcha chciał z nimi zawrzeć „wieczyste przymierze“ i przysiągł, że chce dla nich spełniać tylko „dobre usługi.“ Z najświętszą zgrozą oburzał się na pogłoskę, przypisującą mu wrogie zamiary i zaręczał, że „byłby pierwszy do oparcia się nowemu podziałowi Polski. Spodziewam się—pisał — że to oświadczenie, uspakajające umysły, zbije odgłos, który krzywdzi mój osobisty charakter i sprzeciwia się moim zasadom i uczuciom ku narodowi polskiemu!“ Ach, jak wy upajaliście się temi słowami! Z jakim zachwytem powtarzaliście ustęp z listu Fryderyka Wilhelma do Lucchesiniego: „Więcej ja zrobię, niż Polacy mają prawo ode mnie wymagać, możesz więc usunąć ich obawy.“ Przecież to o biskupie Rybinskim mówi Kitowicz: „Jeżeli kto się poważył powiedzieć przy nim, że alians z królem pruskim nie jest potrzebny, a tem bardziej, że jest niepożyteczny, zaraz się rozzarzał żarliwością, jak gdyby mu kto ognia za nadry nasypał.“ Wreszcie Stanisław August, który najdłużej opierał się ściślejszemu związkowi z „pośrednikiem narodów,“ przyznał ostatecznie: „Jeżeli pójdziemy z królem pruskim grzecznie, z kawalerską, że tak powiem, poufałością, to króla tego zdewinkuje i sprawi, że on sam potępi i odrzuci radę tych, którzy zastarzałą a już dziś shańbioną (!) polityką za jedyny grunt własnych awantażów zakładają szkodę sąsiada.“ Czy to wszystko przypominacie sobie duchy członków stronnictwa „patryotycznego“? Przypominacie sobie, jak Fryderyk Wilhelm i jego posłowie przekonywali was w długich rozmowach i pismach, że możecie bez obawy i skrupułu oddać Prusom Gdańsk i Toruń, że to ustępstwo będzie raczej formalne, niż istotne, że ono Polsce przyniesie olbrzymie korzyści, a sąsiadowi — tylko wygodę, niezmiernie kosztowną? Jakże niewiele brakło, ażebyście mu byli ofiarowali ten podarek! Z jakąż wzgardą odpieraliście podejrzenia tych, którzy w was budzili niewiarę do umizgów Mefistofelesa pruskiego! To nic nie znaczy — dowodziliście — że on w najważniejszych sprawach ogranicza się tylko na „zobowiązaniach słownych“ — trzeba postępować z nim „grzecznie,“ a ten „kawaler“ nie zawiedzie. Prawda, nie wiedzieliście, że siedzący was Lucchesini po zawarciu traktatu pisał do swego pana: „Teraz, kiedy już mam w ręku tych ludzi i kiedy przyszłość Polski jedynie od naszych kombinacyj zawisła, kraj ten posłużyć może WKMości za teatr wojny i zasłonę od wschodu dla Śląska, albo też będzie w rękach WKMości przedmiotem targu przy układach pokojowych. Cała sztuka z naszej strony jest w tem, aby ci ludzie niczego się nie domyślali i aby nie mogli przewidzieć, do jakich ustępstw będą zmuszeni w chwili, gdy WKMość za swe usługi zażądasz od nich wdzięczności.“ Prawda, że „domyślność“ i „przewidywanie,“ czyli zdolność polityczna była najsłabszym nerwem waszej działalności jako mężów stanu. Ale ostrzegawcze znaki wydobywały się na wierzch. Ten sam Lucchesini rzekł do Stan. Augusta w przystępie szczerości: „Przyznam, że my Prusacy krzywdzimy was, ale jeśli Polska z nami aliansu nie zrobi, to my jeszcze bardziej was krzywdzić będziemy, a do kogóż będzie miała rekurs sama jedna, bez żadnego sprzymierzeńca?“ Król przecie tego wyznania nie zataił. Reszta sam wódz „patryotów,“ Ignacy Potocki, poznawszy propozycye traktatu, zawołał: „Za wodę rzeczną chce on wina Bordeaux, a Bóg wie, ile zażąda, gdy nam poda Madery.“ Mimo tych przeczuć, spostrzeżeń, zastanawiających objawów, całą gromadą połykaliście zdradziecką wędkę z przynętą czułych słów i krzyczeliście w uniesieniu: tak nam lekko stąpać pod przyjacielską opieką króla pruskiego! Zobaczcie w teraźniejszości, czem się stała ta opieka i przyjaźń. Poznajcież katechizm polityki pruskiej względem Polaków, którego każde przykazanie kończy się groźbą zagłady; przeczytajcie mowy parlamentarne i artykuły dziennikarskie krzyżackich Katonów, których każdy wywód kończy się wnioskiem: *praeterea censeo Poloniam delendam esse*; posłuchajcie najbrutalniejszych obelg, jakiemi oni bez powodu i miary raczą swych niewolników, za waszego czasu tytułowanych braćmi. Dowiedzcie się, że lud polski na Śląsku w ustach fabrykantów niemieckich nazywa się: „polską świnią lub polskiem bydłem,“ a jego język jest według nich „podłą gwarą.“ Nieszczęsne mary, czy wy pojmujecie okropność waszej omyłki? Czy miałybyście odwagę żyć teraz śród jej następstw?

Jednakże my was nie oskarżamy tak dalece, jakby upoważniały skutki waszego błędu. Rzeczywiście, można było i należało okazać więcej rozwagi, więcej rozumu politycznego: bo przecie już wtedy były wydane pisma Fryderyka II, a w nich jego szczere wyznania samolubstwa, które miały dostarczać reguł praktycznych jego następcy; już za waszego życia środki i cele polityki pruskiej były dosyć odsłonięte, a liczne jej matactwa uwidoczniły się w losach waszego narodu. Tak jest, ale znowu na waszą obronę przyznać trzeba, że najdalej sięgające i najpodejrzliwsze jasnowidztwo nie mogło przewidzieć, że stanie się to, co się stało i dziś staje. Niemcy były bądź co bądź szczepem oświeconym i szły ku przyszłości szybkim krokiem rozwoju kulturalnego. Nikt więc nie mógł przypuszczać w końcu XVIII w., że one za lat sto cofną się. Właściwie nawet nie jest to cofnięcie się, lecz zboczenie na taką drogę, na której żaden naród cywilizowany nigdy nie był. Bo na całym globie ziemskim, oprócz Prus, nie ma dziś państwa, w któremby rząd surowo karał innoplemiennych swych urzędników za używanie języka ojczystego w stosunkach prywatnych i rodzinnych. Na całym globie ziemskim, oprócz Prus, niema państwa, w któremby rząd nie pozwalał swym innoplemiennym urzędnikom składać oszczędności w bankach i kasach, założonych przez ich rodaków. Na całym globie ziemskim, oprócz Prus, niema państwa, w któremby rząd zakazywał doręczania listów, adresowanych w języku swych innoplemiennych poddanych. Na całym globie ziemskim, oprócz Prus, niema państwa, w któremby najwyższy sąd skazywał na grzywny ojców innoplemiennych, posyłających swe dzieci do wyższych zakładów naukowych za granicę. Na całym globie ziemskim, oprócz Prus, niema państwa, w któremby redaktorzy innoplemienni za wykroczenie prasowe zakuwani byli odrazu w kajdany przed wyrokiem. A takich odrębności możnaby wyliczyć jeszcze więcej. Że one kiedyś przygniotą i rozmiażdżą „przytulonych do łona“ pruskiego Polaków, o tem nie śnili nawet przeciwnicy uwiedzionych przez kusicieli Fryderyka Wilhelma w Polsce. Są to nieprawdopodobieństwa, leżące po za obrębem najpomysłowszej w potwornościach wyobraźni.

Chociaż więc ofiarom polityki pruskiej w dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej polskiej muszą ciągle stawać przed oczami duchy grzesznych fatalną naiwnością „patryotów,“ złowionych w sidła Hertzbergów, Lucchesinich i Goltzów, jednakże nawet w największem rozżaleniu i bólu nie skazalibyśmy ich na powtórne życie w obecnych warunkach, do których wytworzenia nieopatrznie przyczynili się. Taka nauka byłaby dla ich winy zbyt bolesną. Ale przerwać na chwilę spokój ich snu wiecznego i ukazać im widok udręczenia ich potomków — to godziłoby się, ażeby wróciwszy do ziemi, wypowiedzieli jej swe żale, od którychby ona zatrzęsła się.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Trzy odczyty o rasowości.

III.

Rasa w świetle etyki.

Odkąd rasa stała się hasłem bojowem, usprawiedliwieniem zaborczych instynktów w imię pseudonauki, zestawienie tych pojęć: rasa i etyka, z których jedno wyraża niby pobudkę wojenną, drugie zaś pragnie usunąć walki i ich źródło — dziwnie brzmieć musi. A przecież znany socyolog Gustaw Ratzenhofer, feldmarszałek wojsk austryackich, uzupełniając dnia 30 stycznia podany w odczytach Hertza i Zenkera, faktyczny materyał do kwestyi rasowej, etyczną oceną socyologicznych zjawisk, istnienie ścisłego związku między niezgodnemi sprzecznościami obrał za punkt wyjścia dla swych wywodów.

Dla filozofii urzędowej nie istniała wprawdzie dotychczas intelektualna styczność z rasą, lecz pozytywizm, zdaniem Ratzenhofera, wykrywając wśród środowisk ludzkich współczesne istnienie etycznego odczuwania i rasowych zagadnień, ma prawo połączyć je nicią duchowej wspólności i badać rasy w świetle etyki.

Za zasadniczy fakt psychiczny natury etycznej, tkwiący zarazem głęboko w realnej naturze naszego biologicznego zaczątku, którego istotne poznanie umożliwia nam dopiero ujęcie etyczne badanych zjawisk, uważa Ratzenhofer *popęd sprawiedliwości*, który np. u Kalabryjskich bandytów objawia się w szukaniu całego szeregu krwawych odwetów za jedną doznaną w młodości krzywdę, u normalnego członka cywilizowanych społeczeństw w rzetelnem spełnianiu obowiązków, u faryzejczyka w samochwalstwie... Ten popęd, *sumienie* człowieka, tkwi w pewnej jakości naszej woli, która nie jest przypadkiem, ale równie, jak całość naszych psychicznych i somatologicznych właściwości, *dziedzictwem po przodkach*. Oto punkt styczny rasy z etyką.

Przodkowie kalabryjskiego bandyty żyli wieki całe wśród bezprawi, ucisku możnych, zdzierstwa urzędników, krzywd puszczanych płazem przez społeczeństwo, a mszczonych za to przez poszkodowanych lub ich rodziny. Ich to doświadczenie przeszło w krew wnuków, jako niesyta żadnych ofiar mściwość, zarówno jak ład i sprawiedliwie dzierżąca wymiar kary opieka potomków i innych ludzi, miłujących porządek i skrupulatne spełnianie obowiązków.

Na stanowisko człowieka do społeczeństwa wpływają zatem rozstrzygające właściwości, które się na podstawie doświadczenia zebranego w walce o byt w ciągu generacyi morfologicznie rozwinęły. Nie moralność objawiona, ujęta w przykazania, kieruje naszem sumieniem, ale ta suma wyobrażeń o sprzyjających lub szkodliwych rozwojowi gatunku okolicznościach, którą przodkowie każdemu przekazali. Te wyobrażenia nakazują dzikiemu Togalowi wysp Filipińskich złożyć swej przyszłej w podarunku ślubnym głowę nieprzyjaciela, katom rycerskim cenić wyżej honor nad

życie, a nowoczesnemu człowiekowi w gospodarczej pomyślności widzieć cel wszystkich zabiegów ludzkich. Lecz choć treść tych wyobrażeń jest różnoraką i zmienną, wspólną zawsze cechą sumienia jest pewna pochopność do poświęcenia interesów osobistych interesom rodziny, narodu i państwa. Jednostka schodzi wobec ogółu na plan drugi, jej czyny są ustępstwem z własnego dobra na korzyść dobra wspólnego, czyli stają się moralnymi. Historya cywilizacyjnego rozwoju ludzkości jest historyą rosnącego podporządkowania jednostki ogółowi, udział w nim zaś ras poszczególnych zależy zdaniem Ratzenhofera od rozmaitego uzdolnienia mas i jednostek do ponoszenia ofiar na ołtarzu wspólnego dobra—będącego właściwością odziedziczoną, rasową.

Ludy, stojące na niższym stopniu cywilizacyi, znają ofiarność i poświęcenie tylko w obrębie pokrewieństwa i powinowactwa, tkwiących swą istotą w popędzie płciowym, który prowadzi do zadzierzgnięcia pierwotnych węzłów spólnoty. Z czasem związki krwi ustępują na plan drugi, a ich miejsce zajmuje cały szereg nowych stosunków i związków, opartych na wspólności interesów zarobkowych, religijnych, ideowych, nie zaś na wspólności pochodzenia. Z początku będą to związki dość ciasne, obejmujące tylko pewne, poszczególne grupy naszych interesów życiowych, lecz z naturalnym postępem rozwoju stają się one coraz to szersze, przechodząc w końcu w uczucia rodowe, społeczne. Społeczeństwo staje się teraz przedmiotem naszych uczuć moralnych, w imię dobra społecznego składamy te ofiary, do których nas i przodkowie tylko dla własnego rodu byli skorzy. Rozwój ten, coraz to szerszo zataczając kręgi, zmusza, zdaniem Ratzenhofera, stojącego na gruncie pozytywizmu etyka do pytania: jak rozległe horyzonty człowiek wogóle uczuciom swym otwierać może, by wskutek przesady nie zniszczyć realnych warunków moralnego ładu, a z nim i szczęścia. Czy wolno mu ludzkość całą jako jedność objąć jednem pragnieniem, czy też granice jego tak daleko sięgać nie powinny?

Według zgodnego twierdzenia wszystkich prawie antropologów wspólność zwierzęcego pochodzenia wszystkich ludzi nie ulega wątpliwości i na ogół wziąwszy somatologiczne różnice między poszczególnymi grupami ludzkimi ani nie są tak znaczne, ani też same przez się odrębnych typów nie stanowią. W epokach przedhistorycznych nastąpiło tak intensywne zmięszanie się ras na wielu punktach, że np. wśród chrześciańskiej ludności Wiednia wszystkie typy rasowe odszukać można. Ale nawet nie uznając poszczególnych typów rasowych w Europie—różnice między europejczykiem a murzynem są tak bijące w oczy, że chyba w imię żadnej równości nikt im przeczyć nie zechce — niepodobna przeczyć istnieniu silnych i zasadniczych różnic między wielkimi jej odłamami. Różnice te nie dają się wytłumaczyć wyłącznie różnicami rasy, bo złożył się na nie długi szereg przyczyn, jak siedziba, otoczenie, warunki ekonomiczne, odziedziczone i nabyte właściwości, sposób walki o byt, i t. d. Pod działaniem tych czynników i jako ich rezultat pozostają odrębne narody, posiadające zazwyczaj odmienny język, który świadczy o przedwiekowych różnicach rasowych, zepchniętych teraz gdzieś już w głębię.

Przez zbliżenie się do siebie ludzi, mieszkających niegdyś w rozproszonych gromadach, zbliżyły się do siebie i typy ludzkie, starły znacznie różnice rasowe, ale do pierwotnych różnic przybyło w ciągu wieków znów tyle innych, wypływających z różnego środowiska, różnej historyi, że Ratzenhofer widzi w nich dostateczną przyczynę do postawienia socyologicznego twierdzenia. „Ponieważ rozmaitość właściwości typów ludzkich, wytwór tysięcy lat, nie może zniknąć w krótkim czasie, przeto moralny i społeczny rozwój ludzi zawarunkowany jest istnieniem autonomicznych, związanych z terytoryum organizacyi, które tworzą odpowiednie swej kulturze, nabytym i odziedziczonym właściwościom, oraz potrzebom gospodarczym państwa narodowe, albo też, gdzie wytworzenie jednolitych narodowych organizacyi nie jest możebne, koalicye narodów.

Tak zwana kwestya rasowa jest najlepiej rozwiązaną w państwie narodowem, któremu się lud cały poddaje, uznając ważność i konieczność jego istnienia. Wytworzenie państwa narodowego jest treścią walk politycznych, a uznawanie jego potrzeby, poddanie mu się, uważa Ratzenhofer, za wykwit wszystkich cnót obywatelskich, za najwznioślejszy obowiązek uspołecznionego człowieka. Z wyraźną aluzyą do austryackich stosunków biada nad społeczeństwem, które nie umiało w zadawalający sposób uporać się z państwowem zagadnieniem. Budzą się tutaj z uśpienia dawno gdzieindziej pogrzebane instynkty rasowe, wprowadzają w życie państwowe czynnik rozkładu i grożą widmem ruiny. W ustach wysokiego dostojnika austryackiego te biadania nikogo, obznajmionego z obecnymi stosunkami parlamentarnymi Austryi, napewno nie zadziwią, lecz smutne jego przepowiednie nie przerażą ani Czechów, ani Niemców, ani Polaków lub Włochów, ani reszty ludów kłócących się pod berłem austryackiego monarchy.

Coraz to silniej zacieśniają się stosunki między państwami, coraz to żywszą jest między niemi wymiana ludzi, myśli i wyrobów, lecz nakazaną historycznym rozwojem terytoryalnie określoną organizacyę państwa uważa Ratzenhofer jeszcze na długie lata za cywilizacyjną konieczność. Wszelkie dążenia do zatarcia autonomii państwowej, wychodzącej np. od papiestwa, lub też sztucznego zniesienia linii granicznych w imię interesów międzynarodowych skrajnej lewicy społecznej w ubiegłej fazie, oraz ruchomego kapitału, stają się źródłem zamętów i podkopują powagę tej władzy, której zadania są coraz ważniejsze i trudniejsze: powagę państwa, jako narzędzia cywilizacyi.

To państwo, w którego obronie austryacki feldmarszałek z takim zapałem kruszy kopie, niema być identyczne z żadną z istniejących obecnie form rządu, nie mniej przeto posiadać winno dostateczną władzę i siłę doświadczonego kierowania całem życiem społecznem, do przeciwdziałania czynnikom rozkładowym. *Sprawiedliwość* ma być jego główną cechą. Najlepszym zaś obrazem obecnego życia państwowego jest dla Ratzenhofera — pożar teatru w Chicago. Każdy pcha się naprzód, depcząc i tratując drugich, ale bramy mające być ratunkiem w razie nagłego wypadku, przez opieszałość służby szczelnie zamknięte, a z osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo publiczne nikt obowiązków swoich należycie nie wypełnia. Tylko, że w Chicago spełniła się katastrofa w paru minutach, w życiu zaś ciągnie się latami. Każdy pragnie swoje osobiste interesy, jak najrychlej przy kasie życiowej załatwić, organizacya społeczna podążyć za śpieszącymi nie umie i tak wszystkie wyjścia do społecznego dobra są bądź tłoczącymi się zapchane, bądź niestety zupełnie zamknięte.

Obowiązek wspólnej pracy nad uzdrowieniem tych stosunków spada na każdego, kto jest w stanie ocenić ile nowych zadań rozwój cywilizacyi nakłada na państwo. Dawna wiara we wszechmoc jednostki upadła. Nikt już teraz szczerze nie sądzi, że swobodna gra indywidualnych interesów zapewni ogółowi możliwie największą sumę szczęścia. Ze śmiercią Herberta Spencera zeszedł ze świata ostatni przekonany szermierz liberalizmu, a pozostali bronią już nie teoryi, ale własnych interesów. W Anglii, w klasycznej krainie wolnego handlu, najwybitniejszy mąż stanu nawołuje do zmiany obecnego systemu gospodarczego, do ceł ochronnych i świadomego zabezpieczenia interesów gospodarki narodowej. Im więcej się życie społeczne komplikuje, tem pewniejszą i silniejszą musi być ręka, która je wiedzie—państwo obecne zaś, które ciągle jeszcze siebie za cel, a społeczeństwo za środek uważa, nie jest w możności na żadnem polu sprostać swoim obowiązkom. Dość spojrzeć na tyle omawianą kwestyę stosunków zdrowotnych, bez których i moralnych problematów rozwiązywać nie sposób. Wśród ludności trapionej suchotami, skrofułami, chorobami wenerycznymi, epilepsyą, alkoholem, źle odżywianej, zbitej w ciasnych, niezdrowych pomieszkaniach, kazania moralne są tylko humbugiem, godnym zresztą społeczeństwa, którego przepisy karne hodują coraz to nowe zastępy złoczyńców, zamiast zbłąkanych naprowadzać na właściwą drogę.

O wartości rasy rozstrzyga, zdaniem Ratzenhofera, stopień uzdolnienia do wytworzenia państwa, będącego rzeczywistym pionierem postępu, a równocześnie i wyrazem, tkwiących w społeczeństwie sił i dążeń. Zdolność tę widzi on przedewszystkiem u Anglików z tej i z tamtej strony Oceanu, choć mógłby ją i bliżej siebie zobaczyć, gdyby zamiast brać pod uwagę społeczeństwo jako całość, badał programy i cele poszczególnych partyi politycznych.

W miarę, jak ludzie i narody, które już osiągnęły wyższy stopień cywilizacyi przekształcają interesy osobiste w interesy społeczne, państwo—cywilizator zbliża się ku swojemu urzeczywistnieniu. Potrzebą najważniejszą obecnej doby jest wytwarzanie ludzi, mających odwagę wygłaszania własnych przekonań, bohaterów *prawdy*, którzy wbrew panującym prądom nawoływać będą do pokonywania ciasnych instynktów osobistych i rasowych w imię szerszych, bo ogólniejszych narodowo-państwowych ideałów.

H. G.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Jerzy Orwicz: *Ela*. Powieść współczesna, odznaczona na konkursie „Bibl. dzieł wyborowych.“ Warszawa, A. G. Dubowski. — H. Orlicz-Garlikowska: *Szablon*. Warszawa. 1903. — Bohowityn: *Wyzyskiwani*. Warszawa, 1903, nakl. P. Paprockiego i S-ki.

Wrażenia, pozostające po przeczytaniu niektórych powieści, są nikłe i rozwiewne, jak obłoczek dymu. Pierwszy wiatr nowych wzruszeń na zawsze je rozdmuchuje i gubi w przestrzeniach niepamięci. I nigdy już potem przeczytana powieść nie przychodzi na myśl. Czasami los bohaterów interesuje nas do ostatniej karty, lecz w chwili, gdy stajemy u mety i zamykamy książkę, z nika nam z przed oczu świat, stworzony przez autora. Bez względu na najtragiczniejsze losy bohaterów z lekkiem sercem powracamy do porządku dziennego — i książka ginie w pyle zapomnienia.

Przepowiedzieć mogę na pewno, że los taki czeka „Elę“ p. Orwicza i „Szablon“ p. Orlicz-Garlikowskiej. Powieści te mają dużo wad, przedewszystkiem jednak wy-

...nąłbym im brak świeżości uczuć, która rzeczy stare odmładza i na ogranych strunach nowe pozwala wygrywać melodye. ...o mniejsza już o „świetne pomysły," ...„zajmującą fabułę," o pozbawienie utworu wszelkiej tendencyi, o tak zwane błędy w architektonice powieściowej i o sto innych łańcuchów teoryi, krępujących wszystkie dziedziny piękna, a pękających, jak nici pajęcze, gdy rozrywa je talent. Mniejsza o to, byle z dzieła tryskał zdrój świeżych uczuć, byle je cechowało to, co stoi ponad gruzami nieustannie walących się gmachów estetyki urzędowej, byle autor ...ał własną, nietuzinkową indywidualność i potrafił nią ożywić swych bohaterów.

A jeżeli dzieła takie tworzy tylko talent, to niepodobna go przyznać autorom „Eli" i „Szablonu." Powieści te przypominają ... dobrze znanego, lepiej i ładniej opowiedzianego przez innych. Autor (a może autorka?) „Eli" nie umie patrzeć w życie własnemi oczyma i nie przebiera w wyborze swoich bohaterów. To też i sama Ela i jej ojciec, szlachcic dobroduszny, piastujący po stracie majątku urząd w małej mieścinie i płytka „przyjaciółka" Eli z matką, myśląca nieustannie o świetnej partyi dla swojej pociechy, i ów kopciuszek wiejski Stasia i dwaj studenci, „których białe ...tle świeżością swą mogły śmiało rywalizować z połyskującym na stole obrusem," i pani Mena pół-lwica salonowa, „mająca już przesyt bezmyślnego chaosu" i jej brat, p. Michał, artysta-dyletant, w mniemaniu ... bardzo wrażliwy na piękno—wszystko to postaci szablonowe, płytkie i znane z edycyj nieporównanie ciekawszych.

Autor „Eli" nie dostrzega w ludziach nic, coby ich wynosiło po nad poziom banalności, ale za to patrząc na naturę, opisuje rzeczy, ukryte zwykle dla oka przeciętnego śmiertelnika. I Ela i Zosia spoglądając na łany zboża widzą np. „rozrzucone wśród żyta bławatki i maki," mają nawet „ogromną chęć wyskoczyć z powozu dla zerwania polnego bukietu," ale „pani Antonina nazwała je za to szalonemi pałkami..." Słusznie!..

I w „Szablonie" niema ludzi z ciała, krwi i kości. Ani Lorcia, dziewczyna nieprawdopodobnie naiwna, poślubiająca na rozkaz operetkowych rodziców jakiegoś lotra z pod najciemniejszej gwiazdy na firmamencie niebieskim, ani pani Czarska, stanowiąca trzecią ścianę w trójkącie miłosnego stosunku, ani „postępowa" pani Stacha, ... niewyraźny p. Jerzy włącznie z dziesiątkiem innych osób nie mają własnych fizyognomij. A jeżeli, w co uwierzyć trudno, na tem miałaby polegać satyra powieści (satyrę wskazuje tytuł), to tem większy błąd popełniła autorka: jądro satyry zawsze tkwi w prawdzie, a tej brak jest bohaterom „Szablonu."

... wiele korzystniejsze wrażenie wywiera „Wyzyskiwani" Bohowityna. Po przez dyalog często nienaturalny, a pozbawiony cech, które charakteryzowałyby mówiących, ... przez gadatliwość i rozwlekłość, niepozwalającą autorowi na skupienie myśli, ...zebija, jeżeli nie talent, to przynajmniej jego zadatek. Bohowityn czuje żywo, jest wrażliwy i posiada pewien dar obserwacyjny, a ludzie tacy zawsze mają coś do powiedzenia.

...„Wyzyskiwanych" dwa światy przesuwają się nam przed oczyma. Światy te łączą się i zlewają ze sobą, ale podział, acz często niedostrzegalny dla oka, istnieje zawsze. Tym podziałem jest wyzysk, który ...o rozlał się po świecie: wtargnął na poddasza i do suteryn, ogarnął olbrzymie niziny społeczne, dostał się wyżej i wyżej, dotarł wszędzie, gdzie spotykają się ludzie i świat cały podzielił na wyzyskujących i wyzyskiwanych.

...nowityn uwypuklił ten podział i uczynił ... zręcznie: dla odmalowania wyzyskujących nie użył samych sadzy, a wyzyskiwanych nie odmalował wyłącznie jasnemi barwami. I tu, i tam spotykamy ludzi z ich wadami i słabostkami, i tu i tam są jednostki lepsze i szlachetniejsze, wyzysk zaś zjawia się jako zło, którego nie jest winną ułomna natura ludzka: tkwi on głębiej, a podstaw, na których się opiera, gdzieindziej szukać należy. Takt powieściopisarski ocalił autora od popełnienia karykatury, a wrażliwość na cierpienia pozwoliła mu wydobyć z orkiestry niedoli człowieczej kilka akordów silnych, szczerych, tchnących prawdą, a drgających żalem i łzami.

Niestety, w galeryi postaci, przewijających się i w tej powieści, niema ani jednej osobistości, któraby pociągałaby głębią. Obserwacya autora ślizga się po wierzchu i nie dociera do tajników duszy ludzkiej. To też powieść więcej działa na czytelnika tłem, na którem rozgrywa się akcya, niż wypadkami, które na tle tem rozsnuto, a które przeżywają bohaterzy. Na dobitkę gadatliwość autora cechuje niemal wszystkie osoby, stojące na pierwszym planie. Oto przykład. Na str. 171 dowiadujemy się, że panna Ewa jest małomówną, a już na str. 173 do 175 włącznie rozwiązuje się pannie Ewie język i „małomówna kobieta" mówi stanowczo zadużo. Przytem niektóre tyrady są nużące i nietylko nie świadczą o głębszem wniknięciu w treść życia, ale wprost zdradzają dziwne upodobanie do wyławiania oklepanych, a sto razy słyszanych już ogólników np. ...On „pracuje za wiele, martwi się, bo praca źle się opłaca. W Warszawie życie drogie. Warto było się uczyć w ciągu lat trzynastu, żeby później cierpieć wraz z rodziną na całe życie niedostatek. Bo i cóż znaczy 90 rubli miesięcznie przy dzisiejszych warunkach życia? Albożto nauczyciel wyższego zakładu naukowego powinien biegać i szukać lekcyj po mieście..."

Ależ tak, tak, nie powinien, i nikt o tem nie wątpi...

Albo:

...„W tych zakładach kobiecych to tylko zaciemniają umysł dziewczętom, ucząc ich mnóstwa niepotrzebnych rzeczy. Zabierają im czas i zdrowie, nie dając wcale gruntownej nauki. Po kilka godzin dziennie każą im wprawiać się w cudzoziemskie języki, zadają całe stosy niepotrzebnych wypracowań" itd.

Wiemy o tem, wiemy doskonale! Wszystko to są „słowa, słowa, słowa..."

Artur Śliwiński.

„Sztuka ludowa w Polsce."

Niedawno wyszła pod tym tytułem we Lwowie nakładem księgarni H. Altenberga książka budowniczego Kazimierza Moklowskiego. Po pracach Władysława Matlakowskiego: „Budownictwo ludowe na Podhalu" i „Zdobienie i sprzęt," noszących cechy miejscowych monografij; po źródłowych badaniach językowych w kierunku poznania cech koleby — dr. Karłowicza i po studyach Stanisława Witkiewicza, Gersona, Kraszewskiego, Kolberga, Zoryana Chodakowskiego i innych, dzieło Moklowskiego jest jedynem znakomitem studyum *ogólnem*, uplanowanym zbiorem *historycznego* materyału z zakresu dziejów rozwoju polskiej sztuki ludowej. Historya sztuki i polskiego budownictwa zyskała w tem dziele to, co Niemcom dali Meitzen w pracy „Dom niemiecki w swoich formach ludowych" i Henning w studyum „Dom niemiecki w swym rozwoju historycznym." W metodzie badania posługuje się autor z nadzwyczajną ścisłością światopoglądem Engelsa, Morgana, Marxa, Buckle'a i Spencera, wskazując za prof. Riehlem, że pochodowe drogi ludzkości wyśledzić można jedynie, badając *całokształt* warunków wszelkiego życia na ziemi. Przyroda kraju, jego geograficzna odrębność, określa życie wytwórcze człowieka, a życie wytwórcze zapełnia się całością codziennych szczegółów, wpływających przez ciągłe powtarzanie się na formę życia płciowego i rodzinnego, wrzynających się w świat wyobraźni, wierzeń i przesądów w słowach i wyrażeniach. Dla stepowca-koczownika przyroda jest zawsze jednaką i prócz pór roku, ciepła i zimna, istnieje stado i dom: *namiot*, miejsce chwilowego zamieszkania. Stąd dla stepowca płótno namiotu staje się źródliskiem nazw dla szeregu pojęć, „związanych istnieniem swojem z płótnem namiotu..." Również u mieszkańców mieszkań palowych, które po jaskiniach stanowią jedną z najstarszych form siedziby ludzkiej w Europie, do nazw łodzi, wiosła, wody, palów, plecionki trzcinowej i wiklinowej przywiąże się wielka liczba nazw plemiennych i czynności związanych z działaniem ludzkiem i jego wierzeniami. Równie silnie na pojęciach i wyrazach odbije się forma mieszkania — późniejsza od palowej, jaką jest ziemianka i kosz. Przyjdzie *drzewo*, początkowo *z korą*, potem *z kory odarte* i odciśnie się w nieskończoność na całym obszarze życia ludzkiego, jak to na języku polskiego narodu doskonale do dziś śledzić można. Zjawi się cegła czerwona i odżyje mur kamienny i odbije się na mowie, na pojęciach i brzmieniach wyrazów ukaże pochodność swoją. Wskazuje to, że zmiany w społeczeństwach, rozciągające się do wszystkich objawów życia społecznego, wyrażają się w coraz wyższych cywilizacyach nieustannym rozrostem świadomego obejmowania coraz to większych obszarów „zaspokojonych potrzeb i niezaspokojonych pragnień."

Do tych określeń dodaje autor zasadniczą uwagę, a mianowicie, że u każdego ludu ze zmianą otaczających warunków zmienia się forma istnienia, ale przetwarza się powolniej w miarę czasu, siły i wkorzenia się w umysł i ciało dawniej przeżytych kształtów kultury gospodarczej i umysłowej. W ten sposób potwierdza autor słowa Hegla, że wszystko, co ludzkość kiedykolwiek w dziejach swoich przeżyła, jest w niej *przechowane*, albo jako coś już przebytego, pozornie dziś nieistniejącego, albo jako rzecz zachowana, zawarta w ludzkości i nieustannie wpływająca na ogólny charakter kultury poszczególnych narodów, owych gatunków drzew przeróżnych, rosnących w ogromnym, od biegunów do równika gwarzącym lesie ludzkości.

„I tak być musi. Inaczej nie wzrastałaby pojemność życia społecznego i osobistego i tem samem nie byłoby historyi kultury. Kultura dopiero, pokoleniami wzbierając, usposabia jednostki do skupienia w sobie natężonego rozumowo, uczuciowo, obyczajowo i materyalnie życia, które nazywamy cywilizacyą."

Trzymając się powyższego, bada autor fizyczną historyę Europy, dyluwialną i lodową epokę, podkreślając zjawienie się w czwartorzędowej i trzeciorzędowej „człowieka ujść rzecznych," a następnie jaskiniowca europejskiego, wypartego przez zwycięzcę czasów neolitycznych i, doszedłszy do okresu palowego, wskazuje wpływ jego na postęp cywilizacyi, na jego ślady w podaniach helleńskich; następnie grupuje wyrazy należące do kultury palowej, dając obraz ówczesnego życia codziennego i zatrzymuje się nad nową teoryą o powstaniu nazwy „Polaków i Polski" i nad teoryą najazdową prof. Piekosińskiego. Podobnie jak w rozdziale o „namiotach" wyjaśnia autor w niesłychanie zajmujący sposób początek nazw rodowych, a później narodowych, „wypływający z ówczesnego sy-

stemu gospodarczego," tkwiący korzeniami swymi w namiocie i koniu, jak „Niemiec"— Nemet; tak tu usiłuje wywieść z klanu gospodarki palowej nazwy łacińskie Palatynów, Latynów, niemieckich West i Ost Pfahlów, greckich Pelasgów i Helenów — Polaków, Polonii, Polski. „Naród, który, pochodząc z nad Łaby, Odry, Pomorza, przesiadł się do Wielkopolski, nosił taką nazwę, jaką mu typowy obraz siedlisk palowych nadał, był narodem na palach mieszkającym, wśród plosów, w pałankach, w opolu, słowem, był narodem *polskim* — a kraj jego *Polską*" (str. 169). Twierdzenie na pierwszy rzut oka bardzo... ryzykowne, ale ponieważ fakta dziejowe u wszystkich plemion i narodów świadczą o zjawiskach analogicznych i ponieważ nazwy jednostek — co już dziś przecie nie jest wątpliwem — mówią o pochodności swojej od rodzaju zajęć lub miejsca zamieszkania, ponieważ podobne przypuszczenia znajdujemy u innych badaczy, jak u A. Małeckiego, Kętrzynskiego, Baudouina de Courtenay'a, Kuniku i in., hipoteza Mokłowskiego nabiera wszelkich cech ściśle naukowej rzeczywistości, opartej na istotnie poważnych przesłankach. Zadziwiająca swoją rozległością i pogłębieniem znajomość literatury,odnoszącej się do powyższego przedmiotu, uderza bardzo silnie i zmusza czytelnika do zupełnego niemal poddania się wynikom tych doniosłych badań autora, dopełniających badania profesorów Piekosińskiego i Wojciechowskiego.

W ten sam sposób traktuje autor epokę budownictwa *leśnego*, wykazując znakomitą znajomość tego, co dali tej epoce Virchow, Fryderyk Seesselberg, Schäfer, Hennig, Karłowicz i inni, oraz cudowną zdolność syntetyczną, ogromną łatwość wysnuwania wniosków stanowczo samoistnych, opierających się na obszernych zjawiskach z historyi budownictwa i zdobnictwa pierwotnego. Omówienie dokładniejsze całego dzieła jest wprost niepodobieństwem ze względu na szczupłość miejsca. Materyał jest tak obszerny, że chcąc zapoznać czytelnika z całą treścią, należałoby napisać o niej książkę, gdyż streszczający byłby zmuszony zapisywać *każdą* myśl autora dla wyżej podkreślonej niezależności i śmiałości poglądów (s. 337—520).

Podkreślić tylko należy, co autor mówi o sprawie przechodzenia form z jednego materyału w drugi i o odtworzeniu w kamieniu, cegle i wyprawie ludowego stylu polskiego. Sztuka ludowa ma swoje zastosowanie w budownictwie i tam gdzie kamień i cegła, wypierając drzewo z całem jego przepięknem i oryginalnem zdobnictwem, stają się nieodzowną budowlaną koniecznością. Świątynia grecka kamienna, tkwi wątkiem i kształtami swemi w drzewie, jako w pierwiastku, w którym się cała architektura urodziła i wykształciła, nim wskutek rosnącego braku drzewa przeszła w marmur i na niego całą zdobycz drzewną przelała w zdobieniu i w formach. I polski gotyk — co również wskazał Essenwein w monografii Krakowa — tkwi bezprzecznie w drzewie. Okroje gotyckie odrzwi, kroksztyny, przechodziły z zachodnio-europejskiego kamienia na nasze rodzime drzewo, a ulegając zmianom, zależnym od jego właściwości, wprowadziły te zmiany na powrót do budownictwa kamiennego. Tem się tłumaczą okrągłe narożna odrzwi domów i kościołów polskich. W ten sam sposób obok gotyku, renesansu i baroku polskiego, zastygają w cegle, w kamieniu i wyprawie kształty, urodzone i wykarmione przez lud polski w drzewie. (str. 326).

Przechodząc od budownictwa leśnego i jego historycznego rozwoju do budownictwa ludowego rolniczego i współczesnego i kreśląc jego właściwości, wskazuje autor zjawisko rozkładu dawnej kultury ludowej, a konieczność takiego następstwa widzi w działaniu i wpływach następującego towarowego systemu gospodarczego. Nowoczesne warunki, dając chłopu uwolnienie od roboty pańszczyźnianej, wprowadziły doniosły czynnik pracy najemnej do jego życia gospodarczego. W ten sposób chłop, stając się kółkiem nowoczesnego społeczeństwa kapitalistycznego, traci dawne właściwości kulturalne. Góral, który niegdyś w zimie, nie mając co lepszego do roboty, ozdabiał kozikiem każdy wolny kawałek płaszczyzny na wszelkich sprzętach drewnianych, nauczył się cenić obecnie swoją pracę, którą może spieniężyć w inny sposób, materyalnie dla siebie korzystniejszy.

Dawni snycerze w Zakopanem już snycerstwem się nie bawią — oddanych sztuce ludowej coraz mniej. Pod wpływem tych warunków ginie budownictwo wieńcowe — ale prąd odradza się w klasach wyższych, dawne, wiązane na zamek chłopskie koleby są coraz częstsze.

Po tej części, omawiającej rozwój i przemianę zasadniczej komórki mieszkalnej, jaką jest izba ludowa w późnych czasach i wiekach, przystępuje autor do analizy rozmaitych dalszych budowli ludowych, które zwracają uwagę swoim kształtem i zdobniczością, a wyrastają z wspólnego pnia chaty polskiego ludu. W tej części znajdzie czytelnik równie znakomity rozbiór budowy i zdobnictwa kościołów, dworków szlacheckich, dworów obronnych i zamków, cerkwi, kaplic, krzyżów, dzwonnic, bożnic drewnianych i meczetów, ratuszów z dokładnem, ogromnie ciekawem odtworzeniem zewnętrza i wnętrza budynków z ich dachami, śparogami, grzebieniem dachowym, okapami gotyckimi i renesansowymi, powałą, sosrębem itd.

Całe dzieło, o 552 stronach druku, jest ozdobione 379 wizerunkami, wykonanymi przez samego autora i jego brata Tadeusza.

Edmund Weisberg.

Adam Minheimer.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 28 stycznia zmarł po długich cierpieniach w Warszawie człowiek znany powszechnie z zacności i bezinteresowności charakteru. Jako kompozytor i muzyk nie należał Minheimer do pierwszorzędnych talentów, lecz każde jego dzieło odznaczało się nadzwyczaj starannem wykonaniem i drobiazgową sumiennością. Tę zaletę wnosił do każdej czynności, której się podejmował. Duszę miał pogodną i ciepłą, co się odbiło tak w utworach jego, jak w stosunkach z ludźmi.

Urodził się w 1830 r. Pierwsze wykształcenie muzyczne odebrał w kraju i już w 20 roku życia wszedł w skład orkiestry teatru Wielkiego, jako pierwszy skrzypek. Odtąd działalność jego stale związana była z teatrem. Do najlepszych jego dzieł scenicznych należy 4-aktowa opera „Mazepa", którą wystawiono także na kilku scenach włoskich. Prócz oper i melodramatów (Dalila, Posąg, Hans Matths) zostawił wiele utworów na orkiestrę, wiele dzieł religijnych, kantat i utworów na chór.

Był też członkiem Tow. Muzycznego gorliwym i bardzo czynnym.

NOWE KSIĄŻKI.

— A. Seignette: **Zwierzęta epok ubiegłych**, przełożył Jan Lewiński. Ze 167 rycinami w tekście. Warszawa. Nakład księgarni E. Wende i Sp. 1904.

Jest to pobieżny wykład paleontologii. Treść dzieli się na cztery rozdziały, traktujące kolejno faunę czterech okresów geologicznych. Piąty rozdział poświęcony jest człowiekowi kopalnemu, a całość streszcza się w uzasadnieniu i uwidocznieniu faktu, że studya paleontologiczne są jednym z fundamentów teoryi ewolucyjnej w biologii, że uzyskane przy ich pomocy dane naukowe jasno dowodzą rozwoju świata organicznego od form prostszych do bardziej złożonych, stąd niewielka i balastem naukowym nieprzeciążona książeczka może każdemu właściwą przynieść korzyść, jako rzetelna informacya.

— Stefan Kozłowski: **Zasady kooperacyi wobec naszych spółek i stowarzyszeń.**

Jest to olbrzymi i trudny temat, wtłoczony w ciasne i niewystarczające ramy „referatu," wygłoszonego na posiedzeniu ogólnem kieleckiego Towarzystwa rolniczego. Poruszono tu wszystkie zasady i wszystkie formy stowarzyszeń współdzielczych, nie dając oczywiście dokładnego wyobrażenia o żadnem. Trudno właściwie pojąć, jaki cel mógł mieć prelegent w nagromadzeniu takiego mnóstwa luźno powiązanych wiadomości w granicach 33 stron niewielkiej broszury. Słuchacze nie mogli odnieść żadnej prawie korzyści, a szkoda, ponieważ przy umiejętnem potraktowaniu przedmiotu ujęcie pewnej strony tego ważnego ruchu ekonomiczno-społecznego mogłoby czegoś nauczyć stowarzyszonych i rzucić pożądane światło na ten nowy u nas, lecz zyskujący sobie uznanie objaw.

Referat ten należy więc uważać chyba, jako dowód dobrych chęci człowieka, który nie posiada poczucia proporcyi oraz umiaru i nie umie powściągnąć gadulstwa oraz ująć swych myśli w zwięzłe i jasne kształty. W każdym razie broszura stanowi jeden dowód więcej, że wkroczyliśmy w okres kooperacyi, rokującej dobre nadzieje na przyszłość.

NA MARGINESIE.

O obyczajach wężowych A. W. Rolker opowiada zajmujące szczegóły w *Windsor Magazine*. Najstraszliwszym wśród tych stworzeń kanibalem okazuje się indyjska kobra, która na wolności zadawala się jaszczurkami, gdy nie ma nic lepszego, w niewoli zaś karmi się podobnymi sobie gadami i nie tknie innego pożywienia prócz węża sześć stóp długiego. Prawdziwą litość może wzbudzić widok mąk przestrachu takiej ofiary, wpuszczonej do klatki okrutnika, który przez chwilę mierzy ją wzrokiem, zanim się rzuci. Losowi swemu niezawsze jednak poddaje się biernie skazaniec. Błyskawicznym rzutem usiłuje owinąć się dookoła łba swego wroga, aby go zadusić. Lecz kobra ubiegnie go zawsze w tym zapędzie. Ruchem tak szybkim, że prawie niepochwytnym dla oka ludzkiego, pogrąża w swej paszczy jego głowę i walczącego, wijącego się całem ciałem, wsuwa sobie najspokojniej do wnętrza.

Ciekawemi właściwościami, co do żywienia się i zachowywania podczas tego aktu, odznacza się wąż amerykański, grzechotnik. Na wolności włóczy on się po łanach zbożowych, polując na szczury polne. Napada zuchwale i szybko, a nie boi się niczego. W niewoli objawia godność szczególnego rodzaju, której lekceważenie może go doprowadzić do zagłodzenia się: zamknięty w klatce dorosły grzechotnik nie tknie jedzenia w liczniejszem towarzystwie, niż we dwoje. Pożywieniem są zawsze szczury, lecz trzeba je wprzód zabić, gdyż rzucają się one na węża, wskakują mu na kark i, zatopiwszy w nim zęby, pozbawiają życia.

Nierzadko węże trzymane w zamknięciu odmawiają przyjmowania pokarmu i trzeba je do tego zmuszać. W ogrodzie zoologicznym w Nowym Yorku znajdował się 20-stopowy, wspa-

miały jutrzyn (python), który, jak wszystkie pythony w niewoli postanowił się zagłodzić. Proszę sobie wyobrazić takie stworzenie długie na wysokość dwóch piętr, ważące 280 funtów, grubsze niż najtęższe udo ludzkie, posiadające siłę dwunastu ludzi, o skórze barwy brunatno-purpurowej, z głową tak wielką, jak u wilka i paszczę tak obszerną, że się w niej duży pies newfoundlandzki wygodnie pomieścić może. Trzeba było użyć nielada siły i to nie jednego, ale 12 ludzi, ażeby opanować i wyciągnąć to wielkie cielsko w celu zadania mu pokarmu, składającej się z 30 funtów królików, które trzeba mu było wpychać do gardła laską bambusową. W pierwszych chwilach zapasów zdawało się nieraz, że królewski gad zmódz się nie da, a wówczas ludzie walczący z nim napewno z życiem pożegnaćby się musieli.

Wśród wężowej rodziny, tak wrogo wogóle usposobionej dla ludzi, zwierząt i ptaków, żyje jeden ciekawy okaz tępiciela swego gatunku, który rzuca się na każdego węża, aby go zabić. Ameryka południowa jest ojczyzną tego przyjaciela człowieka a zaciętego wroga wszystkiego, co pełza. Ciało jego smukłe, gibkie, nadzwyczaj sprężyste i silne, koloru żółto-czarnego, ma długości 5—8 stóp. Natarcia jego żaden wąż nie wytrzyma. Jad mu zupełnie nie szkodzi, siłą mierzyć się może z każdym wężem; w pięć minut załatwia się z najpotężniejszym pythonem. I ten nieubłagany prześladowca swego gatunku dziwnie przyjazne okazuje usposobienie względem człowieka. Spotkawszy go, nigdy nie ucieka, a wzięty w rękę, owija się dokoła ramienia, jakby w pieszczocie.

Bardzo zajmującą czynnością jest odbieranie żywym osobnikom jadu. Dla dużych okazów wymyślono specyalny w tym celu przyrząd, z małymi jednak mniej sobie ceremonii zadają. Do klatki wprowadzają szybko kij, którym przytłaczają łeb gadziny do ziemi, a następnie chwytają ją za kark. Dla patrzącego wydaje się to rzeczą zupełnie prostą, a jednak jest to straszne ryzyko dla tego, kto to robi.

Dla wydobycia jadu podaje się wężowi kartkę papieru w tutkę zwiniętego. Zazwyczaj jednak kąsać nie chce, trzeba go więc pobudzać przynętą. Wówczas otwiera paszczę, pokazując przednie zęby jadowe i szereg tylnych blado-różowych. Zamykając szczęki, natrafia na tutkę, w której następnie po rozwinięciu znajduje się kanarkowy, żółty, gęstawy płyn zawartości łyżki stołowej, wystarczający dla zabicia trzech ludzi.

Analiza jadu kobry wykazuje 95% pierwiastku niszczącego ustrój nerwowy i 5% zatruwającego krew. Śmierć od ukąszenia tego węża bywa bezbolesna, ale można się wyleczyć. Tymczasem ukąszenie grzechotnika wywołuje straszne cierpienia, a w razie uratowania od śmierci — długą chorobę krwi. Układ bowiem pierwiastków jadu znajduje się w stosunku odwrotnym do tego, co widzimy u kobry.

PRASA ROSYJSKA.

Kuryer Warsz. podał następujące ogłoszenie z *Prawit. Wiest.*:

„Działalność instytucyj ziemskich w gub. Twerskiej zwracała oddawna na siebie uwagę kierunkiem, nielicującym z wymaganiami państwa i porządku publicznego. W latach ostatnich nastrój szkodliwy spotęgował się jeszcze więcej. Powstałe w łonie ziemstw, a prawem nieprzewidziane komisye wykonawcze, złożone z osób, służących z wolnego najmu, które zjednoczyły się w związek, mający na celu dopuszczanie tylko wyznawców jednej myśli, wprowadziły do środowiska pracowników ziemskich znaczną liczbę nielojalnych osobistości politycznych.

Wszystko to ze szczególną siłą uwydatniło się w oświacie publicznej, gdzie jawnie wystąpiły dążności ku użyciu wykładów szkolnych za narzędzie propagandy nietylko przeciw istniejącemu porządkowi państwowemu i społecznemu, lecz i przeciw religii.

W mieszkaniu jednego z nauczycieli ludowych znaleziono skład wydawnictw rewolucyjnych, które rozpowszechniano były wśród uczniów, a przez ich pośrednictwo i wśród starszych. Nauczyciele czytywali uczniom utwory literackie, obliczone na podburzenie umysłów przeciw rządowi i kościołowi. Czytywaniu dzieł dozwolonych towarzyszyły objaśnienia, zmierzające ku utrwaleniu w umysłach słuchaczy poglądów przeciwpaństwowych oraz zachwianiu w nich zasad wiary i moralności. W ćwiczeniach piśmiennych uczniów, streszczających rzeczy czytane, znaleziono w kajetach szkolnych oburzające sądy o cerkwi i duchowieństwie.

Przy takim stanie szkolnictwa zrozumiałem jest, iż gubernialne zebranie ziemskie przedsiewzięło szereg środków karnych przeciw powiatowemu, które wdrożyło starania o przelanie szkół pod zarząd duchowny.

Taki stan rzeczy doprowadził do konieczności przedsiewzięcia szczególnych zarządzeń ku uporządkowaniu działalności instytucyj ziemskich w gub. Twerskiej. Ministrowi spraw wewnętrznych tedy udzielono prawa mianowania na bieżące trzylecie przewodniczących i członków ziemskich zarządu twerskiego i nowotorżeckiego bez dokonywania wyborów powtórnych, zakazania zamierzonego nadzwyczajnego zebrania ziemstw twerskiego i nowotorżeckiego, utrzymać w mocy na 1904 r. twerski budżet ziemski z roku poprzedniego, wzbronić pobytu w obrębie gub. Twerskiej osobom, szkodliwie oddziaływającym na bieg spraw ziemskich. Gubernatora twerskiego upełnomocniono do usunięcia ze służby w ziemstwach osób, szkodliwych dla publicznego porządku i spokoju."

KRONIKA.

— *Kawkaz* donosi, iż w Karsie d. 18 b. m., o g. 9 z rana, trzej złoczyńcy dokonali zamachu na policmajstra miejscowego, ks. Cherchenlidzego. Dali oni trzy strzały, od których jednak policmajster nie poniósł żadnego szwanku. Jeden ze złoczyńców, raniony przez policyanta został ujęty; drugi, raniony przez policmajstra, zdołał zbiedz z trzecim wspólnikiem zamachu. Ciężką ranę odniósł policyant, towarzyszący policmajstrowi.

Wiadomości społeczne. Nowe prawo o wynagra[illegible] w przemyśle [illegible] gub. Warszawskiej. Według doniesień pism codziennych inspektorowie fabryczni opracowują obecnie dane dla ustanowienia na pierwsze trzylecie, tj. od 1904 do 1906 r., średniej płacy dziennej robotników, dla określenia wysokości wynagrodzenia w razie utraty zdolności do pracy wskutek wypadków nieszczęśliwych. Dla gub. Warszawskiej projektowane są dwie normy: dla Warszawy i dla prowincyi. Jednocześnie inspektorowie przystąpili do sporządzenia spisu fabryk i zakładów przemysłowych, które będą podlegały nowemu prawu. Po ukończeniu tych prac, zwołane będzie posiedzenie urzędu do spraw fabrycznych, które ostatecznie ustanowi średnie normy płacy zarobkowej i poda je do powszechnej wiadomości robotników.

— Właściciel fabryki tytuniowej w Grodnie, Szereszewski, atakowany kilkakrotnie wymaganiami robotników i przerywaniem normalnego biegu pracy, postanowił przekonać ich, że nie jest od nich zależny, i w tym celu zamknął fabrykę na trzy miesiące, pozbawiając zarobku około 2,000 robotników. (*Wil. Wiest.*).

— W *Chark. gub. wied.* ogłoszono rozporządzenie [illegible] a zakazujące zbiegowisk, zebrań, narad potajemnych, oraz jakiegobądź mieszania się do zarządzeń policyi. Właścicielom fabryk polecono zapobiegać rozpowszechnianiu wśród robotników wszelkich szkodliwych nauczań lub pogłosek, burzących spokój publiczny [illegible] szczać oka z występnych osobników, ale zachowywać dowody ich winy, jak broszury zakazane, rękopisy itp. Wszystkim wzbronione jest rozpuszczanie jakichbądź pogłosek o mogących wyniknąć rozruchach i zaburzeniach, rozlepianie o tem ogłoszeń, lub zawiada[illegible]

— W Krakowie zawiązane zostało litewskie towarzystwo naukowe p. n. „Ruta;" prezes i sekretarz tej instytucyi mają być Litwinami, protokóły zaś prowadzone w dwóch językach — polskim i litewskim.

— Gimnazistom poznańskim zabroniono bywania w teatrze polskim.

— Redaktor odpowiedzialny *Dziennika Berlińskiego* skazany został na 30 m. kary za pomieszczenie [illegible]

— Redaktor odpowiedzialny *Dziennika Poznańskiego* skazany został na 150 marek kary za artykuł, wykazujący słabość charakteru i zmienność przekonań nauczyciela Nawrockiego, który się przezwał Schrot[illegible]

Szkoły i wychowanie. *Kur. Warsz.* donosi: W ostatnich czasach zauważono, że Słowianie południowi unikają uniwersytetów rosyjskich zwłaszcza wydziałów lekarskich. Przyczyną tego jest ta okoliczność, że uniwersytety rosyjskie wydają po ukończeniu wydziałów lekarskich dyplomy tylko na stopień lekarza, gdy uniwersytety Europy zachodniej — dyplomy doktora medycyny. Uznając podobne zjawisko za dość przykre, a jednocześnie nie mogąc zmienić prawa rosyjskiego, na mocy którego stopień doktora nadaje się po obronie pracy naukowej, ministeryum oświaty poleciło zarządowi uniwersytetu warszawskiego, aby na przyszłość Słowianom południowym, którzy ukończą wydział lekarski, wydawano dyplomy z dodaniem 36 artykułu ustawy akademii wojskowo-lekarskiej w Petersburgu. Nadto ministeryum dozwala Słowianom południowym, wychowańcom uniwersytetów rosyjskich, mianować się w Serbii, Bułgaryi oraz Rosyi lekarzem lub doktorem. Oprócz tego ministeryum uchwaliło zwrócić się do zarządów państw słowiańskich z prośbą o zrównanie w prawach wychowańców uniwersytetów rosyjskich z zachodnio-europejskimi.

— Z uniwersytetu warszawskiego wydalono 359 studentów z powodu nieopłacenia wpisu za pierwsze pół[illegible]

— W Skępem (gub. Płocka) nauczycielka p. Bernatowiczówna założyła szkołę dla dziewcząt prywatną, gdyż gmina odmówiła na ten cel zapomogi.

— Politechnika petersburska ma być oddana pod zarząd ministeryum oświaty.

— Przepisy prawne nie zabraniają innowiercom utrzymywania prywatnych zakładów naukowych i przyjmowania dzieci prawosławnych.

Ze sztuki. W Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej otworzony został nowy Salon sztuki, założony przez p. Stefana Kulikowskiego.

— Pan W. S., za pośrednictwem „Związku studentów architektury lwowskiej politechniki," ogłasza dla kształcącej się młodzieży polskiej konkurs na projekt elewacyi wiejskiego domu mieszkalnego, mającego uledz przeróbce. Projekt ma obejmować rzuty parteru i pierwszego piętra, więzby dachu, cztery fasady i przekrój poprzeczny. Nagrody dwie: 120 i 60 koron.

Literatura i prasa. D. 8 b. m. w Filharmonii warszawskiej odbędzie się drugi wieczór literacki na rzecz powodzian, na którym p. Aleksander Świętochowski wygłosi „Uczuciowe tamy postępu," p. Antoni Pilecki — kilka własnych utworów poetycznych, a p. Stanisław Kempner — „Egoizm w ekonomii."

— *Kur. Warsz.* zawiadamia, że otrzymał pozwolenie zbierania składek na pomnik nadgrobny Adama Pługa.

Wiadomości naukowe. W Moskwie powstaje stowarzyszenie studenckie w celu naukowego badania bytu włościan.

— Projektowany na wrzesień r. b. międzynarodowy kongres medyczny w St. Louis nie odbędzie się z przyczyny rozwiązania komitetu organizacyjnego.

Zdrowie publiczne. W *Gaz. Polskiej* czytamy: Przeprowadzona w warszawskiej szkole realnej, przez dr. Fedorowicza z udziałem lekarza-dentysty, pierwsza rewizya stanu zębów u uczniów wykazała, że z ogólnej liczby 567, tylko 7 czyli 1.3% miało jamę ustną w porządku zupełnym i 2.4% zęby zdrowe; następnie na każdą setkę uczniów przypada: 149 zębów plombowanych, 432 zepsutych, 283 podlegających usunięciu, i 102 brakujących. Wobec powyższych danych, kurator okręgu, okólnikiem wydanym do wszystkich

dyrektorów i inspektorów średnich z zakładów [illegible] wych w Królestwie Polskiem, zalecił potrzebę odbywania podobnych oględzin w innych zakładach nauko- [illegible]

— Zjazd Pirogowa w Petersburgu uznał homeopatyę za znachorstwo, a zajmowanie się nią lekarzy — za niezgodne z etyką lekarską.

Sprawy ekonomiczne. Od 14 b. m. ustanowiony zostaje przewóz węgla z Zagłębia Dąbrowskiego przez Iwangród do Warszawy za taką opłatą, co na linii Warsz.-Wiedeńskiej.

— W Drobinie i Wempiłach, gub. Płockiej, powstają włościańskie spółki rolnicze.

— W Łodzi rozlepiono następujące rozporządzenie gubernatora piotrkowskiego: „Na zasadzie rozporządzenia p. ministra skarbu, stanowczo zaprzecza się rozpuszczonym w m. Łodzi wieściom bezsensownym o wstrzymaniu wypłacania wkładów z kas oszczędnościowych, ze względu na wypadki na Dalekim Wschodzie. Ostrzega się przytem, że osoby, które okażą się winnemi rozpowszechnienia tych pogłosek alarmujących ogół, będą pociągnięte do najsurowszej odpowiedzialności prawnej.“ Podobne zaprzeczenie fałszywym pogłoskom ogłosiła również państwowa kasa oszczędności w Warszawie.

— Włościanom mieszkającym na pograniczu Królestwa Polskiego, a udającym się do robót rolnych w Danii, pozwolono wydawać paszporty bezpłatne na czas od 14 kwietnia do 24 grudnia.

— W Wiedniu urządzono wystawę zreformowanych strojów kobiecych.

Poczta. Oddziały pocztowe warszawski i łódzki otrzymały polecenie doręczania korespondencyi rekomendowanej jednocześnie ze zwyczajną adresatom posiadającym skrzynki na poczcie. Interesowani powinni złożyć podanie do biura pocztowego z zaznaczeniem, że korespondencya, wydana osobie, która przybędzie z kluczem do skrzynki, uważa się za prawnie wydaną z pełnomocnictwa abonenta skrzynki. Osoby, odbierające w ten sposób korespondencyę rekomendowaną, zamiast w księgach, będą podpisywały się na awizacyach pocztowych.

— Główny zarząd poczt i telegrafu wydał rozporządzenie, że urzędnicy, winni omyłek w telegramach, będą uwalniani ze służby.

— Korespondencya z Francyi do Chin, zamiast przez kanał Sueski, wysyłana będzie koleją Syberyjską.

Katastrofy. W Turynie w bibliotece narodowej spaliło się około 100,000 książek i cennych rękopisów starożytnych. W ogniu, który pożarł bibliotekę uniwersytecką zginął słynny kodeks „Les heures de Turin“ przyozdobiony wspaniałemi miniaturami pędzla braci Huberta i Jana van Dyck, mistrzów malarstwa flandryjskiego w początkach XV stulecia.

— W kopalniach Cheswick (Pensylwania) skutkiem wybuchu gazów zapadła się część podziemi; utraciło życie 180 górników.

Zmarli. Józef Hoffman, malarz, w Wiedniu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Witkowskiemu w Aleksandropolu. Oba pisma opłaciliśmy dla Sz. Pana 11 stycznia. Posłaliśmy reklamacyę.

P. A. W. Jak najdokładniejsze objaśnienie znaleźć można w każdej gramatyce.

OFIARY.

Na powodzian. P. Duszyńska z Kijowa 6 rb.

SPROSTOWANIE. Na stronie 59, nr. 5, 1 szp., wier. 32 od dołu zamiast „rostures“ winno być „vestuves,“ zamiast „sprainikavimas — „apvainikavimas.“

OGŁOSZENIA.

NADESŁANE.

W imię sprawiedliwości.

Dr. St. Wąsowski w nr. 1 *Ogniwa*, w fejletonie zatytułowanym „Święto filistrów,“ inteligencyę miejską na prowincyi zaliczył do „najnędzniejszych z nędzarzy tej ziemi“ i zapewnił, że wielkie Jutro kopie w tej chwili dla niej „grób zapomnienia i wzgardy.“

Chociaż wiadomo nam z historyi, że potentaci po wsze czasy pluli bezkarnie w oczy nędzy, pierwszy raz zdarzyło mi się spotkać takie jej spotwarzenie przez jednostkę, która przed swojem nazwiskiem ośmieliła się napisać litery: *Dr.* Spotwarzono nas, zmięszano z błotem i za co? W fejletonie swoim pan „Dr“ charakteryzując inteligencyę miejską i zaliczając do niej adwokatów, lekarzy, i urzędników zarzuca nam, że niegdyś, kiedy skrzydła młodości u ramion szumiały stanowiliśmy może jedną z forpoczt postępu, ale to było dawno — dzisiej *wygodne leże, spokojne synekury* zabiły ducha młodości, zgasł zapał, skarlały dążenia, zmalały idee, że czasem tylko budzimy się ze snu, ale nie umiemy już stworzyć sobie bóstwa we własnej duszy, z przędzy własnych dum i myśli. W końcu, że nie podźwignęliśmy się nigdy tak wysoko, aby przestały nam wystarczać bajeczki i baśnie; że wszyscy prowincyonalni inteligenci, którzy stracili ducha, albo nigdy go nie mieli, swoje gliniane dusze, odziane w modne fraki, nieśli na odczyt aby pokrzepić się w sfilistrzeniu, zagłuszyć protest przeciwko własnemu upad- [illegible]

Zaiste trudno było zebrać więcej jadu i śliny, aby plunąć w oczy ludziom za to, że niegdyś, niegdyś.. kiedy skrzydła młodości u ramion, szumiały szli na głęboką prowincyę, z wiarą, że zasiłek duchowy, który zdobyli w stolicach, powinni spożytkować śród tych, którzy dzielili się z nimi wszystkiem, aby zdobycie tego zasiłku duchowego im umożebnić.

Trudno zrozumieć, dlaczego pan „Dr“ zarzuca moralny upadek inteligencyi prowincyonalnej. Czyżby sądził, że inteligencya warszawska z dr. Wąsowskim na czele takie wielkie zasługi dla społeczeństwa niesie, takie wzniosłe idee szerzy? Czy nie wie, że w Warszawie są tylko wielkie jednostki, a ogół taki jak wszędzie? Czy zapomniał o tej prostej prawdzie statystycznej, że jeżeli śród 700 tysięcznej ludności Warszawy znajdzie się jeden geniusz w rodzaju dr. Wąsowskiego, to miasta, posiadające 20 do 30 tysięcy, na geniuszów zdobyć się tak łatwo nie mogą? Czy autor nigdy nie przyglądał się inteligencyi warszawskiej i nie zauważył, że myśli, która wypowiedział z prowincyi nasunęły mu się pod wrażeniem otoczenia? Bo my o snach młodości nie zapomnieliśmy, chociaż warunki bytu naszego są bardzo ciężkie. Jeżeli pan „Dr“ uważa, że zawód doktora, adwokata i urzędnika na prowincyi to spokojna synekura i że duch nasz maleje wskutek bezczynności, dowodzi to tylko, że nigdy na prowincyi nie był i o życiu naszem pojęcia niema.

Doktor na prowincyi, to człowiek, który dniem i nocą, w pogodę i słotę, jeżeli nie dla idei, to dla konieczności zarobienia rubla na obiad dla rodziny, robi wizyty w promieniu 4 do 5 mil na około, służyć musi na każde wezwanie [illegible] połączone z wyjazdem, otrzymuje od 5 do 50 kopiejek honoraryum.

Adwokat, na prowincyi, to człowiek, który, po za pracą zawodową, wymagającą z urzędu bardzo dużo usług bezinteresownych, musi być wszędzie, gdzie jakaś dobroczynna lub finansowo-społeczna czynność wymaga kierownictwa rownież bezinteresownego.

O synekurze urzędnika na prowincyi, pobierającego najwyżej 500—600 rb. rocznie może w dzisiejszych warunkach pisać człowiek, który urodził się i wychował... na księżycu.

My dziś nie tworzymy bóstw we własnej duszy, bo nie należymy do ludzi, którzy odczuwają potrzebę zmieniania tych bóstw, jak zbrudzonej bielizny — co tydzień. My, nasze bóstwa, stworzyliśmy sobie wtedy, kiedyśmy jeszcze o panu Wąsowskim nie słyszeli, a chociaż szaty tego bóstwa pod wpływem czasu płowieją, chociaż wzrok wpatrzony w jego oblicze słabnie, czujemy je w sercach takiem, jakiem je czuliśmy w [illegible]

Zapał nasz nie zgasł, nie mamy tylko czasu, ani możności ogłaszania zasług naszych w warszawskiej prasie. Dążenia nie skarlały przeniosły się tylko z języka do życia praktycznego i dziś czynem staramy się stwierdzić to, o czem w młodości mówiliśmy i marzyliśmy!

Idee, również nie zmalały—przycichły tylko zbladły na szyldach—ale bladość szyldu niedowodzi upadku firmy! Wy lubicie jaskrawe szyldy i w tem cała wasza zasługa; gdyby nie wasz krzyk, niktby o was nie wiedział. A przyjedźcie na prowincyę! Zobaczcie co przez 20 lat zrobili ci, pogardzeni przez was, synekurzyści, te gliniane dusze, odziane w modne fraki. Porównajcie dzisiejsze szpitale z dawniejszymi, porównajcie dawniejszy wstręt do lekarzy i adwokatów z dzisiejszem zaufaniem, przejrzyjcie nasze biura towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, lombardów miejskich, spółek rzemieślniczych, spółek spożywczych, tow. dobroczynności, ochronek, straży ogniowych, towarzystw rolniczych i wiele innych, wszędzie znajdziecie te gliniane dusze, które pracę, czas i serce ofiarują na usługi ogółu.

Otóż i w Sienkiewiczu, inteligencya nasza nie widziała bóstwa, ale widziała człowieka wielkiego talentu, który znając swoją popularność ofiarował czas i trudy na cel dla nas wielki. Że prowincya przyjmuje gości sercem, o tem dawno wiemy. Sądzę, że i sam autor również na przyjęcie gościa znajdzie kieliszek wódki, a może czasem i wina. Czem gość droższy, tem przyjmujemy go serdeczniej. Takich gości, jak prelegenci, albo nie mieliśmy dotąd wcale, albo miewaliśmy bardzo rzadko. Szanujemy ich misyę, uważamy za swoich i nic dziwnego, że wołamy „Sienkiwicz nasz,“ — bo o tem wiemy i wiedzieć nie przestaniemy pomimo artykułów dr. Wąsowskiego.

Jeżeli zaś w przyjęciu bywała przesada, jeżeli społeczeństwo występami nad stan w pewnych chwilach błądzi, przyczyn tego należy szukać w nienormalnych warunkach bytu tego społeczeństwa. Wykorzeniać wady jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka. Ale wad nie wykorzenia się nigdy pogardą i batem — bo tego rodzaju napomnienia nie wywołają w strofowanym nic — oprócz pogardy dla nauczyciela.

St. Staniszewski.

Suwałki. Adwokat.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Января 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.